

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mimo zmęczenia Shelley szybko kroczyła ulicami Koomera Crossing, małego australijskiego miasteczka. Było piątkowe popołudnie. Załatwiła już niemal wszystko, oprócz zakupów. Rozmowa z kierownikiem banku okazała się całkiem udana. Dużo gorzej poszło z jedynym prawnikiem w mieście, który prowadził sprawę jej ojca. Potem złożyła zamówienie w ulubionym sklepie wielobranżowym. Na wszelki wypadek zrobiła to z wyprzedzeniem, żeby nie było wpadki. Świeże produkty dostarczą jej samolotem. Goście z Japonii mieli zjawić się u niej za niespełna miesiąc. Teraz kupiła tylko to, co można było długo przechowywać, by zaś poprawić sobie nastrój, postanowiła dołożyć coś dla siebie. Wprawdzie nie wydawała zbyt wiele na kosmetyki, jednak o środkach do pielęgnacji włosów i skóry nigdy nie zapomniała. Ostatecznie te atuty musiały wystarczyć jej na całe życie.

Choć przyzwyczajona do fizycznego wysiłku, teraz marzyła tylko o odpoczynku. Przed świtem wyruszyła z Wybourne Station. Jechała dość krótko, tylko trzy godziny, po nierównych drogach przez busz, nim dotarła do Koomera

Crossing. Było to najbardziej cywilizowane miejsce na tym obszarze. Cóż, prawda była taka, że południowo-zachodnia część prowincji Queensland należała do tych miejsc na świecie, gdzie diabeł mówi dobranoc. Jednak kochała swój położony w pustynnej okolicy dom. Tylko tu mogła cieszyć się tak wielkim spokojem i swobodą, tylko tu mogła kontemplować niezmierną, otwartą przestrzeń. Pustynia żyła własnym życiem, była wielobarwna i tajemnicza, a skały tworzyły naturalne rzeźby.

To miejsce było jej drogie również dlatego, że łączyło się wspomnieniami z bratem bliźniakiem. Utonął, kiedy mieli po sześć lat. Do dziś słyszała jego głos, gdy wzywał ją na ratunek. Pędziła jak szalona przez zarośnięty ogród... Zawsze u niej szukał pomocy, nie u starszej siostry, Amandy, a nawet nie u matki.

Po tym strasznym wypadku wciąż wydawało jej się, że Sean jest tuż obok. Wierzyła, że każdego ranka pociąga ją za ucho i mówi:

- Shel, obudź się, bo słońce wypali ci dziurę.

Pamiętała, że był pięknym dzieckiem o błyszczących oczach i kręconych włosach. Wydawało się wtedy, że zawsze będą nierozłączni, nawet po śmierci...

Szła zdecydowanym krokiem, pozdrawiając mijane osoby. Znała tu niemal wszystkich. Nie zamierzała wracać dziś do Wybourne. Zbyt długo kręciła się po mieście w czasie doskwierającego upału, by znaleźć siły na długą podróż.

Mimo że często przebywała w palącym słońcu, nigdy nie miała piegów. Amanda bardzo jej tego zazdrościła. Po

babci Moirze, która urodziła się w Irlandii, Shelley odziedziczyła porcelanową cerę, rude włosy, zielone oczy i zadziorny charakter.

Postanowiła zanocować w jedynym w mieście pubie. Jego właścicielem był Mick Donovan. Jedzenie było tam dobre, a pokoje wygodne i czyste. Już nie mogła się doczekać, kiedy wskoczy do ogromnej wanny z mnóstwem piany. Jednak najpierw musiała kupić płyn do kąpieli.

Stała w sklepie chemicznym, zastanawiając się nad wyborem między zapachem jaśminu i gardenii, gdy ktoś pościęgnął ją za lok. Ku jej zdziwieniu, wcale nie była to delikatna zaczepka. Do Koomera Crossing przyjeżdżała przez całe życie i wydawało jej się, że dziś spotkała już wszystkich znajomych. Odwróciła się błyskawicznie, żeby ostro zareagować, ale natychmiast zrezygnowała.

Stał za nią Brock Tyson we własnej osobie. Już jako nastolatek wydawał się nadzwyczaj przystojny i męski, a teraz, po latach wyglądał jeszcze bardziej atrakcyjnie. Choć pochodził stąd, od dawna nikt o nim nie słyszał.

Daniel Brockway Tyson już jako chłopak zasłynął z wielkiej odwagi i nieposkromionej samodzielności. Potrafił wyruszyć w pojedynek na pustynię na wiele dni. W końcu wracał do Mulgaree, gdzie nieuchronnie czekało go lanie. Mulgaree było największą farmą spośród tych, których właścicielem był Kingsley. Hodowano tam bydło. Stary Kingsley, dziadek Brocka, surowo karał wnuka za jego wybryki, lecz nie zdołał złamać w nim awanturniczego ducha.

- Czy to nie urocza, mała Shelley Logan? - Przyglądał się jej uważnie. - Nic się nie zmieniłaś.

- Akurat. Czas wszystkich zmienia. - Wygłaszając tę nader odkrywczą myśl, pozwoliła, by Brock odciągnął ją na bok.

- Co u ciebie słychać? - spytał z uśmiechem.

Shelley była jeszcze nastolatką, gdy wyjechał, a jednak pamiętał ją. Może dlatego, że naznaczona była tragiczną śmiercią swego brata bliźniaka. To wydarzenie wszystkim w okolicy mocno wryło się w pamięć.

- W porządku. - Jeszcze nie opanowała zaskoczenia. - Skąd się tu wzięłaś tak nagle? Cały dzień chodzę po mieście i nikt nawet nie wspomniał, że wróciłaś.

Zauważyła, że stężyła mu mięśnie twarzy.

- To nie był mój pomysł, lecz kochanego dziadka. Wygląda na to, że nasz konflikt zbyt mocno mu już doskwiera. Możesz uwierzyć? Wyrzucił mnie stąd pięć lat temu, a teraz prosi, żebym wrócił. Tak bardzo prosił, że nie mogłem odmówić.

- Może jest chory? W takich chwilach ludzie pragną pogodzić się z rodziną.

- Cóż, umiera jak zwykły śmiertelnik - stwierdził z kwaśną miną. - Oczywiście nigdy nie wierzył, że jest jednym z nich.

Shelley spojrzała na niego, zadzierając głowę. Był od niej wyższy co najmniej o trzydzieści centymetrów.

- Brock, nie wiem, co powiedzieć. Słyszałam, że dziadek był okrutny wobec ciebie.

- Jasne, że był. - Wzruszył ramionami. - Ale i tak potrafiłem zachować swoje zdanie i nie bałem się mu przeciwstawić. Niestety moja biedna matka tego nie potrafiła.

- Jak ona się czuje? - spytała Shelley.

Przez jego twarz przebiegł grymas bólu.

- Nie wróciła ze mną. Zmarła na raka w Irlandii, tam ją pochowałem. Myślę, że w kraju przodków będzie bardziej szczęśliwa.

- Brock! - Łzy napłynęły Shelley do oczu. Zawsze łatwo się wzruszała. - Bardzo ci współczuję. Wiem, jak bardzo byliście sobie bliscy.

- Teraz jestem sam na świecie - stwierdził szorstko. - Mama nie żyje, ojciec zniknął z horyzontu, gdy miałem sześć lat, a ci wszyscy moi krewny... to żadna rodzina, tylko zaprzysięgli wrogowie. Droga ciocia Frances i jej syn, Philip, zawsze byli przeciwko mnie.

- Wrogowie... - Wyraźnie była zmartwiona takim postawieniem sprawy. - Wiesz, Brock, myślę, że oni podziwiają cię w głębi serca.

- Naprawdę? Tylko dlaczego ja nic o tym nie wiem? - Spojrzał na nią ostro.

A jednak w tym niechętnym wzroku było coś takiego... Poczwała, że się rumieni. Brock Tyson był bardzo seksowny. Kiedyś nawet podkochiwała się w nim skrycie. Był już po dwudziestce, spotykał się z dziewczynami, wzbudzał powszechne zainteresowanie. Ona miała zaledwie szesnaście lat i była zupełnie niewinna. Raz nawet ją pocałował. Na pewno dawno już o tym zapomniał. Po raz pierwszy poszła wtedy na tańce. Flirtował z nią trochę, a gdy kręcili się w rytm muzyki, uniósł ją i pocałował. Nigdy nie zapomniała, jak bardzo była wte-

dy przejęta, choć zdawała sobie sprawę, że Brock ciągle ugania się za innymi.

- Philip uważał cię za bohatera, chciał być taki jak ty, odważny i śmiały. Nie obawiałeś się dziadka. Jesteście krewnymi i powinniście się zaprzyjaźnić.

- To absolutnie niemożliwe, i dawniej, i teraz. Zbyt wiele się wydarzyło. Kingsley i Frances zrobili z nas rywali. Tylko jeden mógł zostać dziedzicem. - Spojrzał na nią przenikliwie. - Czy Phil nadal robi do ciebie słodkie oczy? - Zabrzmiało to tak, jakby temat był dla niego drażliwy.

- Tylko się przyjaźnimy. Znamy się od lat. Moi rodzice nie mają nic przeciwko niemu. Brock, naprawdę bardzo cieszę się, że wróciłeś.

- Zawsze byłaś słodką dziewczyną. - Z przyjemnością kontemplował jej zmysłowe usta. - Zaraz, zaraz... Shelley, kiedyś cię pocałowałem, prawda?

- Nałogowo całowałaś wszystkie dziewczyny. - Okrasiała tę uszczypliwość miłym uśmiechem.

- Nie wszystkie. Z twoją siostrą się nie całowałem. Już wyszła za mąż?

- Nie. Skąd wiesz, że ja nie jestem mężatką? - Uniosła brwi.

- Nadal wyglądasz jak kwiatek, który dopiero rozkwitnie - stwierdził z leniwym uśmiechem. - Ludzie mówią, że zajęłaś się turystyką w Wybourne.

- Jestem z tego bardzo dumna. - Pewność, z jaką to powiedziała, nie pasowała do jej dziewczęcego wyglądu. - Spadło na mnie mnóstwo obowiązków. Moi biedni rodzice

niewiele mi pomagają. Nigdy nie pogodzili się ze śmiercią Seana, czują się już zmęczeni życiem.

- Wiem, co to znaczy opłakiwać kogoś. - Nagle w jego oczach pojawił się złośliwy błysk. - Za to Amanda na pewno wyrecza cię w wielu sprawach, nie pozwala ci się przepracować. - Przytyk był jawny. Siostra Shelley była śliczna, lubiła flirtować i myślała tylko o sobie.

- Nie poradziłabym sobie bez niej - przyznała lojalnie.
- Amanda zajmuje się tym, na czym ja się nie znam.

- A cóż to może takiego być? - Stłumił chichot.

- Gra na pianinie i dobrze śpiewa, szczególnie country. Gościom to się podoba. Na pewno pamiętasz, że poza tym jest bardzo ładna.

- A ty nie jesteś? - Spojrzał jej w oczy.

- Och, panie Tyson... - Zatrzepotała rzęsami. - Nie praw mi pan komplementów, bom temu niezwyčajna. - Z trudem zachowała powagę.

- Akurat, niezwyčajna - zrzędził. - Co z tego, że młódka z ciebie, skoro masz tyle pewności siebie co prawdziwa matrona.

- No no, tylko nie matrona!

- Mówiłem tylko o pewności siebie... - zlustrował ją uważnie - a nie o całej reszcie.

Jak on to robił? Jego wzrok aż palił... przyjemnie palił. Co za seksowny diabeł, pomyślała mocno zaniepokojona. Przyjemnie zaniepokojona.

- Lepiej powiedz, jak długo tu zostaniesz - powiedziała szybko.

- Tyle, ile wytrzymam. Kiedy Kingsley poczuł, że wkrótce opuści ten świat, postanowił uporządkować pewne sprawy. Moja matka była jego jedyną córką, więc można by sądzić, że ją kochał. Nie wiem, jak ją traktował, zanim wyszła za mąż i urodziła mnie, jednak nigdy nie widziałem, by okazał jej-choćby odrobinę życzliwości. Zawsze potrafił ją upokorzyć. Była jeszcze sprawa pieniędzy. To nie on, ale babcia Brockway wniosła majątek do rodziny. Dzięki niej ja i mama przetrwaliśmy pierwsze miesiące, aż wreszcie zacząłem zarabiać. Od Kingsleyów nie dostaliśmy ani grosza. Dziadek to okrutny człowiek, tyle że ja łatwiej znosiłem jego traktowanie niż moja matka.

- Jeśli poprosił cię, żebyś tu wrócił, pewnie chce twojego przebaczenia.

- W takim razie bardzo się rozczaruje - rzucił zimno.

- Czym się zajmowałaś przez te wszystkie lata? - Od dnia, kiedy wyjechali, Rex Kingsley słowem nie wspomniał o córce i wnuku.

- To oczywiste, pracowałem. Musieliśmy z czegoś żyć. Hodowałem i trenowałem konie w jednej z najlepszych stadnin w Irlandii. Tam jest zupełnie inaczej niż w Australii.

- Irlandia, kraj przodków... Jak ci tam się wiodło? Wszyscy wiedzieli, że świetnie radzisz sobie z końmi, ale nowi ludzie, inne tradycje...

- Było wspaniale. - Zaświeciły mu się oczy. - W Australii i Irlandii tak samo kocha się konie. Dobrze pracowałem, więc dobrze mi płacili. Szybko zostałem doceniony. Mama nie zmarła w niedostatku.

- Nikt nie wiedział, dokąd pojechaliście.

- Kingsley zerwał z nami kontakty, więc odpłaciłem mu tym samym. Przede wszystkim nie mogę darować dziadkowi, że odwrócił się od matki.

- Właśnie dlatego się dziwię, że jednak przyjechałeś.

- Nie zapomniałem, że po matce też należę do Kingsleyów. Jeśli kochany dziadunio chce umieścić mnie w testamencie, co wydaje się prawdopodobne, nie odrzucę tego zapisu. Jakieś zadośćuczynienie mi się należy. I mamie, tylko że jej już nie ma.

- Zatrzymałeś się w Mulgaree? Chyba nie jest ci tam przyjemnie?

Pamiętała, jak bardzo Philip i Frances zazdrościli Brockowi energii i licznych talentów, a także wewnętrznej siły, dzięki której potrafił przeciwstawić się dziadkowi tyranowi.

- Nie jest tak źle. Zamieszkałem w starej stodole i nie muszę spotykać tych, których nie chcę. - Spojrzał na nią. Shelley Logan nie była już ładniutką nastolatką, tylko piękną, wrażliwą kobietą. Była przy tym nadzwyczaj otwarta i szczerą, mówiła to, co myśli. Kiedyś była dla niego zbyt młoda, jednak teraz...

Nie mógł oderwać od niej oczu. Złocistorude włosy luźno opadały na ramiona. Miała piękne, duże, błyszczące oczy i zmysłowe usta. Już chciał jej powiedzieć, że wygląda bardzo seksownie, ale powstrzymał się. Przed jego wyjazdem, mimo istotnej wówczas różnicy wieku, zaprzyjaźnili się i, sądząc z przebiegu rozmowy, tak było nadal. Nie chciał tego psuć.

- Jak wypadła ocena? - Odparowała jego zachłanne spojrzenie, zaczepnie uniosła głowę.

- Tylko tak sobie patrzę... A co, nie wolno? - Uśmiechnął się lekko. - Shel, z całą pewnością nie jesteś już nastolatką. Masz rację, czas wszystko zmienia.

- Nie było cię pięć lat.

- Tak... Dokąd się wybierasz? Wracasz do domu? - Pomyślał o Wybourne i smutnej rodzinie Loganów.

- Jutro. Jazda w obie strony w jeden dzień to trochę za dużo, nawet jak na mnie.

- Nawet jak na ciebie? Jesteś tak delikatna, że byle wiatr mógłby cię porwać... Wciąż czepiają się ciebie? Prześladowają?

- Brock, nie mów tak - zaprotestowała stanowczo. - Kocham swoją rodzinę. Udało nam się przetrwać najgorsze chwile... - Posmutniała gwałtownie. - Zawsze będę czuła się winna śmierci Seana.

- Ty? Winna? Przecież to był straszny wypadek, okropny, straszny, ale wypadek. A ty ile miałaś wtedy lat? Pięć? Sześć?

- Wiem, ale wcale mi to nie pomaga.

- Jasne, bo nie pozwalają ci zapomnieć. Do diabła, chodźmy stąd! - Od chwili, gdy zaczął z nią rozmawiać, widział, że wszyscy im się przyglądają. Było oczywiste, że zaraz zaczną się plotki.

- Muszę coś kupić.

- To kupuj i znikajmy. Pewnie zatrzymałaś się w pubie?

- Tak.

- W takim razie ja też. Zamierzałem przespać się w cię-

zarówce, ale Mick znajdzie dla mnie jakiś pokój. Co ty na to, żebyśmy poszli razem na kolację? Zauważyłem, że nasza dawna nauczycielka, Harriet Crompton, prowadzi teraz restaurację. Zawsze miała talent do wszystkiego, za co się wzięła.

- Bardzo chętnie. - Shelley natychmiast poczuła, że przechodzi jej zmęczenie.

- Phil dał mi do zrozumienia... czy raczej ostrzegł... że jesteś jego dziewczyną - powiedział ostrożnie Brock.

- Hm, ciekawe, bo mi o tym nie powiedział. - Roześmiała się.

- Shelley, jesteś za dobra dla kogoś takiego jak on. - Nawet się nie krył z wrogością do kuzyna.

- Nie oceniasz go zbyt ostro? Współczuję Philipowi. Dziadek ostro go traktuje, „pomiata, nie pozwala mu się niczym wykazać, natomiast matka wywiera na niego straszłą presję, oczekując nadzwyczajnych sukcesów. Przez to cały czas jest w stresie.

- Przyznaję, że nie jest mu lekko.

- Powinien się usamodzielnąć, niestety za bardzo ulega matce. We wszystkim... Poczekał chwilę, muszę zapłacić.

- Ruszyła do kasy.

- Dobry wybór. - Wskazał żel do kąpieli. - Gardenia świetnie pasuje do twojej pięknej skóry.

Oczywiście nie miała sukienki. Gdy Brock zaprosił ją na kolację, w ogóle o tym nie pomyślała, a przecież powinna dobrze się zaprezentować. Nie tyle powinna, co bardzo jej

na tym zależało. Zdarzyło się to po raz pierwszy od dnia, gdy Christine i Mitch, jej przyjaciele, brali ślub. W przeciwieństwie do Amandy, nie miała szafy pełnej atrakcyjnych strojów. Na co dzień ubierała się praktycznie, w dżinsy i bawełnianą koszulkę. W końcu uznała, że zajrzy do pobliskiego sklepiku z odzieżą. Widziała na wystawie ładną bluzkę, połączenie bawełny z koronką. Nie kupiła jej od razu, bo w najbliższym czasie nie przewidywała żadnych wyjątkowych okazji towarzyskich.

Właścicielka sklepu zapewniła Shelley, że bluzka wygląda na niej bardzo elegancko i doskonale pasuje do białych dżinsów. Pozostawało tylko poprawić makijaż i doprowadzić do połysku miękkie, sportowe pantofle z białej skóry.

Shelley była bardzo podekscytowana, jednak starała się panować nad emocjami. Tłumaczyła sobie, że Brock zaprosił ją przede wszystkim po to, by choć na chwilę zapomnieć o rodzinnych kłopotach. Trudna młodość pozostawiła w jego psychice ślady, które nie chciały zagoić się tak szybko jak ślady bicia. Dziadek przestał znęcać się nad nim, gdy doszło między nimi do prawdziwej walki na pięści. Brock miał wtedy piętnaście lat i metr osiemdziesiąt wzrostu. Jeden z pracowników rancza obserwował to z ukrycia, tak samo zaskoczony, jak i uradowany. Opowiedział o tym w pubie w Koomera Crossing, no i wiadomość w błyskawicznym tempie obiegła okolicę.

- Kingsley, stary sukinsyn, wreszcie dostał, na co zasłużył! Mówię wam, ten młody Tyson to diabeł wcielony. Naprawdę było na co popatrzeć - mówił podniecony. Niestety

wkrótce stracił pracę i miał duże problemy ze znalezieniem następnej.

Brock co prawda wsławił się wtedy odwagą, ale jednocześnie pokazał mroczną stronę charakteru. Shelley starała się o tym nie zapominać.

Brock za nic by nie podejrzewał, że ten wieczór poświęci towarzyskim obowiązkom, do tego tak miłym. Od czasu, gdy pochował matkę, był ogromnie przygnębiony, bo w głębi duszy czuł się odpowiedzialny za jej przedwczesną śmierć. Przez długie lata cierpiała z powodu jego ciągłych konfliktów z dziadkiem, choć nigdy nie wspomniała o tym choćby słowem. Potem, gdy byli już w Irlandii, wciąż ją trzymał przeciwko dziadkowi, którego szczerze nienawidził. Dla matki musiało to być nadzwyczaj trudne, wszak obrzucał jej ojca najgorszymi słowami. Ale cóż, lista win Reksa była nadzwyczaj długa. Tyran, a do czasu pamiętnej bijałki również oprawca Brocka, człowiek, który spowodował, że jego córka i wnuk musieli opuścić rodzinny dom. Można by długo opowiadać o jego wyczynach. Brock oskarżał dziadka również o to, że przez niego stał się faktycznym półsierotą, jako że jego ojciec, Rory, z powodu teścia opuścił rodzinę. Często zastanawiał się, co się z nim tak naprawdę stało. Nie wykluczał nawet najbardziej drastycznego rozwiązania. Uważał, że dziadek byłby w stanie z zimną krwią zastrzelić każdego, kto podważyłby jego autorytet. Miał obsesyjną manię wielkości.

Zawsze był podły, a władza i pieniądze umacniały go

w przekonaniu o własnej wielkości. Rozwścieczyło go małżeństwo jedynej córki. Młodzi opuścili jego dom, żeby zacząć własne życie. Próbował unieważnić ten związek, ale bez powodzenia, bo jego córka była w ciąży. Brock nie mógł pojąć, dlaczego rodzice pozwolili Kingsleyowi, żeby kierował nimi na odległość, i wrócili do Mulgaree. Tam urodził się Brock.

Jego ojciec cierpliwie znosił wrogość i złe traktowanie, natomiast matka nie potrafiła przystosować się do takiej sytuacji. Jednak po sześciu latach Rory Tyson zniknął. Zostawił jedynie krótki list. Dziadek pokazał go policjantowi, który przyjechał z Koomera Crossing, żeby wyjaśnić tajemnicze zniknięcie, a potem natychmiast spalił.

Przez następne lata nie było od Roryego żadnych wiadomości. Brock próbował dowiedzieć się, co działo się z ojcem, ale bez rezultatu. To była kolejna sprawa do wyjaśnienia z dziadkiem.

Brock zaklął, starając się odgonić prześladowające go wspomnienia. Zajął się przygotowaniem do wyjścia. Kruczoczarne włosy nadal były wilgotne po kąpieli, ale szybko wysychały na upale. Uważał, że były zbyt długie i za bardzo się skręcały, choć kobietom zawsze się podobały. Życie nauczyło go, że kobiety zawsze gotowe są powiedzieć coś miłego, natomiast mężczyźni to dranie.

Włożył czystą koszulę. Dobrze, że miał ją z sobą. Co ja, do diabła, robię? - pomyślał. Wolałby być sam i dojść do ładu z własnymi problemami. Skąd pomysł, żeby spędzić wieczór w mieście? Cóż, młodsza córka Loganów zawsze

miała w sobie coś pociągającego, a przez tych pięć lat z nastolatki przemieniła się w atrakcyjną kobietę. Śmierć Seana niemal doprowadziła jej rodziców do szaleństwa. Wszyscy w okolicy im współczuli. Mówiono, że matkę do tej pory nawiedzały ataki skrajnej rozpacz. Leżała wówczas całym dniami w łóżku, płacząc lub martwo patrząc w sufit. Jej mąż wzmacniał jeszcze tę depresję, wciąż przypominając wszystkim o tragicznym dniu. Szczególnie często jednak swe raniące słowa kierował do młodszej córki.

Brock pomyślał, że podobnie jak on, nie zasługiwała na nieustanne prześladowania, i to ze strony rodziny. Cierpienie zbliżyło ich do siebie. Nigdy nie zapomniał, że kiedyś pocałował ją w tańcu. Miała wtedy nie więcej niż szesnaście lat, lecz nadal często przypominała mu się tamta chwila. Był przekonany, że Shelley Logan, na zewnątrz osoba spokojna i raczej łagodna, kryła w sobie mnóstwo temperamentu i namiętności. Uśmiechnął się. Cóż, była ruda, kojarzyła się więc z ogniem.

Ciekawe, jaka była jej siostra, Amanda? Pewnie siedziała sobie przy pianinie i śpiewała piosenki, podczas gdy Shelley harowała w kuchni, przygotowując posiłki dla turystów. Wątpił, żeby pomagała jej w tym matka. Trochę pogadał w miasteczku o Loganach. Farma podupadała, należała do najgorszych w okolicy, i gdyby nie ostatnie przedsięwzięcie Shelley, byłoby z nimi całkiem krucho.

Brock wiedział, że słodkie dziewczyny jak Shelley Logan działają na mężczyznę niczym balsam. Brakowało mu kogoś takiego, lecz nie mógł sobie pozwolić na żadne ro-

manse. Jego przyszłość była niepewna, okazałby się więc nieodpowiedzialnym głupcem, gdyby snuł jakieś poważne plany.

Zdawał sobie sprawę, że Mułgaree nie jest miejscem dla niego, jednak spotkanie z dziadkiem było konieczne i nieuniknione. Urodził się tu, podobnie jak jego matka i wuj Aaron, ojciec Philipa. Natomiast Philip przyszedł na świat w prywatnej klinice w Brisbane, bo ciotka Frances obawiała się porodu na odludziu. Pamiętał jeszcze dobrotliwego wuja Aarona. Niestety zginął tragicznie przed laty, przebity rogami przez rozwścieczonego byka. Od tamtego czasu życie w Mułgaree zamieniło się w piekło.

- Naprawdę pięknie wyglądasz! - stwierdził Brock, stojąc w drzwiach. Shelley upięła rude włosy do góry, co podkreśliło gładką cerę, lekko pomalowała usta, a duże zielone oczy rzuciły spojrzenie, któremu trudno było się oprzeć. - Uwważ! - mruknął do siebie i zaraz dodał: - Bardzo ładna bluzka. - A najważniejsze, że uroczo podkreślała kształtne piersi. Poczul narastające pożądanie. Pamiętał jednak, że nie przyjechał tu po to, by zawrócić w głowie Shelley Logan.

Zachwycone spojrzenie Brocka sprawiło jej niekłamana przyjemność.

- Cieszę się, że ci się podoba - rzuciła niby od niechcienia. - Nie miałam co na siebie włożyć, więc popędziłam do najbliższego sklepu.

- Miło, że zadałaś sobie tyle trudu. - Uśmiechnął się. - Możemy już iść? Zarezerwowałam stolik. Upowiedzieli mnie,

że jedzenie u Harriet jest świetne i trzeba wcześniej zamówić miejsce.

- Rozmawiałeś z nią?

- Tylko dlatego zdobyłem miejsce. Obiecała, że zaopiekuje się nami osobiście. Harriet bardzo cię lubi.

- Też ją dobrze wspominam.

Wyszli z pokoju. Shelley ukradkiem przyglądała się Brockowi. Wysoki, silny, imponujący ostentacyjnie męską urodą. Przypomniała sobie cudowny moment, gdy znalazła się w jego objęciach. Lecz to był tylko nieważny epizod sprzed lat. Natomiast łączyło ich co innego: wychowali się w równie nieprzyjaznych domach. Te bolesne przeżycia sprawiły, że oboje musieli szybko dojrzeć i liczyć tylko na siebie.

- Jeszcze nie byłam u Harriet - przyznała Shelley. - Dostałam zaproszenie na uroczyste otwarcie, ale Amandzie bardzo zależało, żeby tam pójść. Nie chciałam zostawić mamy samej w domu. Cierpi na straszne bóle głowy.

Delikatnie ujął jej rękę.

- Dlaczego poświęcamy życie na cierpienie? - powiedział jakby do siebie.

- Moja matka obawia się jakiegokolwiek radości. Uważa, że byłoby to nie w porządku wobec Seana.

- Brzmi to bardzo przygnębiająco, ale w pewnym sensie ją rozumiem.

Gdy opuszczali pub, wiele osób wesoło ich pozdrowiało. Wyglądało na to, że wszyscy ucieszyli się z powrotu Brocka. Reagował spokojnie, na luzie, natomiast Shelley zarumieniła się. Tak naprawdę to co ona robiła u jego boku?

W drodze do restauracji niewiele rozmawiali. W środku było przyjemnie i chłodno, wystrój utrzymany w zieleni i bieli. W doniczkach rosły pędy bambusa, a na ścianach wisiały stare, pożółkłe fotografie przedstawiające historię miasteczka.

Natychmiast podeszła do nich Harriet, ubrana w rajski jedwabny strój.

- Witajcie, witajcie! - Pocałowała w policzek Shelley. - Brock, gdzie się podziewałeś przez tyle czasu? Brakowało nam ciebie.

- Byłem w Irlandii.

Spojrzała na niego ze współczuciem.

- Mówiono mi, że zmarła twoja mama.

Milczał przez chwilę.

- Myślę, Harriet, że w końcu jest tam, gdzie chciała. Wróciła do swoich przodków. Tu nie miała prawdziwego domu...

- Bardzo ci współczuję. Wiem, że był to dla ciebie wielki cios. - Dotknęła jego ręki. - Jeszcze o tym porozmawiamy. Tymczasem należy ci się chwila wytchnienia. Mam dla was dobry stolik na dziedzińcu. Chodźcie za mną. Shelley, wyglądasz wspaniale - dodała z uśmiechem.

Lubiła i podziwiała Shelley Logan. Była dzielna i bardzo bystra. Mogła wysoko zajść w każdym wielkim mieście, jednak utknęła w dysfunkcyjnej rodzinie, która zupełnie jej nie doceniała. Na dodatek ciągle nosiła w sobie niezasłużone poczucie winy.

- Witaj, Brock! - rozlegało się przy stolikach. Kolejno

odpowiadał na uściski dłoni. W końcu dotarli na dziedziniec, gdzie w zacisznym kącie czekał na nich ratanowy, biały stolik i wygodne krzesła, pokryte tkaniną ozdobioną wzorem liści bambusa.

Restauracja była czynna tylko trzy razy w tygodniu. Harriet przekroczyła już sześćdziesiątkę i doszła do wniosku, że czas oszczędzać siły. W środy, piątki i soboty serwowała obiady i kolacje. Lubiła tę pracę i widać było, że sprawia jej przyjemność.

Podawała im menu, zaskakująco obszerne jak na małą restaurację.

- Naszą specjalnością są potrawy orientalne, ale jeśli macie ochotę na coś innego, zaraz możemy to przygotować. Muszę wracać do kuchni, ale któraś z dziewcząt przyjmie od was zamówienie. Může tymczasem macie ochotę napić się czegoś?

- Shelley? - Brock spojrzał na nią pytająco.
- Poproszę kieliszek białego wina.
- Może jednak dasz się skusić na szampana?
- Świetnie. -
- Zaraz ktoś wam poda. - Harriet uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ DRUGI

Niespiesznie delektując się posiłkiem, Brock przestał myśleć o Mulgaree i ponurych wspomnieniach. Shelley była urocza. Interesowało ją wszystko, co mówił, inteligentnie dopytywała się o szczegóły. Ciągłe napięcie, które prześladowało go od miesięcy, zaczęło wreszcie znikać.

Kolacja okazała się doskonała. Brockowi zdarzało się jadać w dobrych restauracjach w Irlandii i Francji podczas służbowych wyjazdów, jednak Harriet dużo podróżowała po świecie i dobrze wiedziała, jak przyrządzić wyborne jedzenie. Krewetki i potrawy z ptactwa były jej specjalnością.

- To było świetne - przyznał, gdy zajęli się deserem.

- Wspaniale. Próbowałam kilka razy zrobić japońszczyznę dla moich gości.

- Udało się? - Z przyjemnością obserwował zmieniający się wyraz jej twarzy. W blasku świec w oczach Shelley połyskiwały złote ogniki.

- Nie od razu. Świetnie radzę sobie z ryżem do sushi, ale można go przechowywać tylko jeden dzień. Największym problemem są świeże ryby, bo mrożone absolutnie się nie nadają. Zwykle musi wystarczyć łosoś z puszki i kraby. Na szczęście mamy mnóstwo doskonałej wołowi-

ny. Potrafię przygotować z niej sporo azjatyckich potraw. Musiałam kupić specjalną zastawę. Do japońskich omle-tów potrzebowałam prostokątną patelnię. Teraz robię je w różnych odmianach. Do tego wymyślne, eleganckie przybranie...

Uśmiechnął się.

- Zawsze miałaś artystyczne zdolności. Ponoć Harriet przechowuje wszystkie twoje rysunki.

- Dziwię się, że jeszcze o tym pamiętasz. Gdy mam chwilę czasu, nadal rysuję i maluję rośliny. Nie uwierzysz, gdzie się zapuszczałam, szukając rzadkich kwiatów.

- To wspaniałe hobby. - Była tak radosna, że miał ochotę wyciągnąć rękę i objąć delikatne dłonie.

- Jasne. Co prawda nie jestem pewna, czy moje akwa-relki są aż tak dobre, jak twierdzi panna Crompton. Mó-wi, że mam talent. Namawia mnie do urządzenia wystawy w tym lokalu. Wyobrażasz sobie moje obrazki na ścianach jak w prawdziwej galerii?

- Świetny pomysł. Jestem pewien, że Harriet wie, co mówi.

- To mi dodaje pewności siebie - powiedziała Shelley z uśmiechem. - Zrobiła dla mnie wiele dobrego. Nauczy-ła mnie też malować na jedwabiu. Kiedyś wybiorę się do Daintree, żeby malować tropikalny las, a przede wszystkim motyle... Zdaje się, że za bardzo się rozgadałam.

- Ależ skąd, słucham cię z wielkim zainteresowaniem. - Pomyślał, że mógłby dla niej zorganizować wyprawę do Daintree. - Wystarcza ci sił na to wszystko?

- Muszę przyznać, że nieraz padam z nóg.

- Jesteś bardzo delikatna.

- To tylko pozory. Tak naprawdę jestem silna, twarda...

Cóż, nie mam wyboru. - Zamyśliła się na chwilę, potem uśmiechnęła się. - Lubię zajmować się turystami. Mam z tego wiele frajdy. Pewna starsza Japonka poświęciła mnóstwo czasu, żeby nauczyć mnie wycinania z warzyw pięknych ozdób, które służą do przybierania potraw. Prawdziwa artystka. Ze zwykłych warzyw tworzyła kwiaty, liście i inne piękne wzory. Samo obserwowanie jej przy pracy było dużą przyjemnością.

- Na pewno dochodziła do perfekcji przez wiele lat.

- Oczywiście. Zaprzyjaźniłam się z wieloma Japończykami, poznałam ich język To niezwykle ekscytujące. By poznać japońską kulturę, koniecznie trzeba nauczyć się... i zrozumieć ich kuchnię.

- Widzę, że interesują cię obce nowinki, - chociaż w dzisiejszych czasach Australia chyba bardziej związana jest z Azją niż z Europą. Jak widzę, dobrze dbasz o gości.

- Przynajmniej próbuję. Dzięki nim możemy wreszcie trochę zarobić. Ostatnio próbuję namówić jednego z naszych dostawców, Aborygena, który należy do starszyny plemienia, żeby oprowadzał gości po jaskiniach w Wybourne. A ty jakie masz plany? Chcesz wracać do Irlandii?

- Miała nadzieję, że zaprzeczy.

- Chcę przejąć farmy Kingsleyów - powiedział ponuro.

Wzięła głęboki oddech, znów widząc smutek w jego oczach.

- Myślisz, że to możliwe? - spytała niepewnie. - Przecież jest jeszcze Philip.

- Nie potrzebuję współników. - Uśmiechnął się niemiło. - Shelley, nie patrz na mnie z takim strachem - dodał łagodnie, widząc jej spojrzenie.

- Boję się raczej o ciebie. Uważasz, że twój dziadek nagle się zmienił?

Brock objął kieliszek, jakby zamierzał go zgnieść.

- Może odkrył u siebie resztki sumienia?

- Myślisz, że umieścił cię w testamencie?

- Być może... Widzisz, Shelley, nigdy nie mogłem zrozumieć, co kieruje postępowaniem dziadka. Teraz dał do zrozumienia, że chce pojednania, lecz jeśli to tylko okrutny żart? Obawiam się, że powoli traci zmysły. Przecież on wspomniał o podróży do Irlandii, żeby odwiedzić grób mojej matki, choć dobrze wie, jak zostałyby tam powitany.

- Kiedyś musiał ją kochać.

- Mój dziadek nie wie nic o miłości.

- Brock, bardzo ci współczuję. Może nie powinieneś tu wracać, jeśli wywołuje to w tobie tak silne emocje.

- Nie miałem innego wyjścia... Naprawdę widać, że coś mnie gnębi?

- Niestety tak.

- Cóż, taka jest więc prawda - powiedział miękko. - Chyba nie ma lekarstwa na moje smutki. Mulgaree jest częścią mnie i nie pozwolę, żeby Philip i Frances wyrzucili mnie stąd.

- Posłuchaj, Brock. Doskonale rozumiem, co czujesz, jednak Philip ma takie samo prawo do spadku jak ty. Też

jest wnukiem Reksa Kingsleya. Naprawdę nie jesteś w stanie dzielić się Mulgaree?

Objął jej dłoń. Poczowała silny dreszcz w całym ciele.

-Shelley, zrozum, Philip nie potrafi zarządzać Mulgaree, że o pozostałych farmach nawet nie wspomnę. Jestem dopiero od kilku dni i już widzę, że ten cały mój kuzynek nie nadaje się do tego. Źle gospodaruje pieniędzmi, tak samo zarządza ludźmi. Nie można żądać szacunku, jeśli się na niego nie zasłużyło. Nie potrzeba mu dużo czasu, żeby roztrwonić to, co Kingsley stworzył dzięki majątkowi Brockwayów. - Widać było, jak bardzo jest zły, mówiąc te słowa.

- Brock, miażdżysz mi rękę.

- Och, przepraszam. - Natychmiast uwolnił jej dłoń.

- Z twoim dziadkiem naprawdę jest tak źle? - Dobrze pamiętała wysokiego, przystojnego mężczyznę, wiecznie ponurego aroganta.

- Mówił mi, że rak zżera mu żołądek, serce wysiada, ma kłopoty z pamięcią. Może umrzeć w każdej chwili. - Odwrócił wzrok. - Niech go diabli!

- Nie masz dla niego nawet odrobiny życzliwości.

- Przykro mi, Shelley, ale matka i ja za dużo wycierpieliśmy. Nie zmieni mnie nawet ktoś tak słodki jak ty.

- Nie jestem taka słodka, jak myślisz... Też swoje wycierpiałam, a to zmienia człowieka. Proszę cię tylko, nie dopuść, żeby zawładnęło tobą poczucie krzywdy i zgorzknienie. Wtedy zwycięży twój dziadek. Może nawet staniesz się taki jak on.

- Jak w ogóle możesz mówić w ten sposób?

- Prawda nie zawsze jest taka, jak byśmy chcieli. Przepraszam, Brock. Zrozum, nie chodziło mi o to, żeby sprawić ci przykrość.

- Jednak udało ci się to zrobić. Zresztą sama też masz smutne życie. Wszyscy tu znają nasze życiorysy, zupełnie jakby lokalna gazeta drukowała je w odcinkach.

- Czasem myślę, że już nigdy nie uwolnię się od przeszłości. Od czasu śmierci brata moje życie stało się szare.

- W takim razie musisz je zmienić - stwierdził z przekonaniem. - Masz prawo do własnego życia... mam jednak nadzieję, że nie u boku mojego kuzyna. To byłoby straszne. - Nagle zmarszczył czoło. - O wilku mowa! - niemal warknął. - Nie uwierzysz, ale Philip idzie prosto do naszego stolika.

Odruchowo odwróciła głowę.

Philip Kingsley był młody, przystojny i wysoki, jednak wyraźnie szpeciły go przygarbione ramiona, jakby stale dźwigał jakiś ciężar. W porównaniu z ciemnowłosym Brockiem wydawał się delikatniejszy.

Spojrzał na nią surowo, z wyrzutem.

- Dobry wieczór, Shelley! Nie sądziłem, że spotkam cię akurat w towarzystwie Brocka. - Takim tonem mógłby mówić do żony, której zarzuca zdradę. Bez zaproszenia przysunął wolne krzesło i przysiadł się do stolika. - Dlaczego jesz kolację właśnie z nim?

- Philip, wybacz, to nie twoja sprawa! - Jej głos zabrzmiał bardzo ostro.

- Dawałaś mi do zrozumienia, że mam do tego prawo.
- Mylisz się. - Starą się mówić nieco spokojniej, choć nie bardzo się to udało. Była wściekła.

- Wydawało mi się, że jednak tak było.

Zawsze w ten sposób postępował: głuchy na argumenty innych, arogancki, uparty jak muł.

Brock spojrział wrogo na kuzyna.

- Phil, odczep się od Shelley! Słyszałaś, co powiedziała? Co mogłoby ją łączyć z takim nadętym dupkiem jak ty? I co tu, do diabła, robisz? Nie zapraszałem cię do stolika!

Shelley nagle coś tknęło.

- Philip, czy w domu coś się zdarzyło? W tej sprawie przyszedłeś?

Philip spojrział na nią.

- Dziadek poczuł się gorzej. Chce widzieć się z Brockiem. Powiedziałbym to, gdybyście dopuścili mnie do głosu.

- Mogłeś powiedzieć od razu, zamiast zajmować się moją osobą - stwierdziła chłodno.

- Pewnie stary Kingsley chce zebrać nas wszystkich razem, żebyśmy rzucili się sobie do gardeł - zadrwił Brock.

Philip pokręcił głową.

- Zupełnie nie masz sumienia. Nie możesz mu okazać odrobiny serca?

- Przykro mi, ale tak jakoś się stało, że sam wyprowadził się z mojego serca. Długie lata na to pracował.

- Dziwne, że w ogóle chciał cię tu widzieć.

Shelley była zaskoczona dwulicowością Philipa. Gdy spotykał się z nią, dobitnie wyrażał niechęć do dziadka,

próbując zyskać jej współczucie. Do tej chwili nawet mu se to udawało.

- Phil, gdy tak mówisz o czułych serduszkach, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że straszny z ciebie kabotyn. - Brock uśmiechnął się pogardliwie.

- Mówimy o twoim dziadku, który kiedyś był potężnym człowiekiem, który zawsze zwyciężał. Teraz bez sił leży w łóżku, patrząc w sufit.

- Nie zauważyłem, żebyś płakał z tego powodu.

- Nie masz pojęcia, co to znaczy rodzina. Nic dziwnego, że dziadek kazał wynosić się tobie i ciotce Catherine.

Brock zbladł. Shelley pomyślała, że za chwilę rzuci się kuzynowi do gardła.

- Nie zwracaj na niego uwagi. - Mocno ujęła jego dłoń.

- Czy mógłbyś już sobie pójść, Phil? Przekazałeś wiadomość, nic tu po tobie.

- Co, stajesz po jego stronie?! - Philipowi aż zagulgotało gardle. - Przecież jesteś moją przyjaciółką, nie jego!

- Do diabła, Shelley nie jest twoją własnością! - Brock nie wiedział, co bardziej drażni go w kuzynie: jego pyszałkowość, zakłamanie czy głupota. Zarazem zdumiał się, że drobna kobieta dłoń jest zdolna do tak mocnego uścisku.

- Mamy wspólne plany na przyszłość - oświadczył Philip.

- Słucham?! - Shelley chciała mu wejść w słowo, ale w ogóle na nią nie zwracał uwagi, tylko dalej mówił do Brocka:

- Bardzo się różnimy, kuzynku. W przeciwieństwie do ciebie zamierzam coś osiągnąć w życiu.

- No to powodzenia - mruknął Brock, tyleż rozbawiony, co zniesmaczony tą pustą deklaracją. - Kłopot w tym, że brak ci ikry, inteligencji i samodzielności. A prościej mówiąc, charakteru. Wijesz się jak piskorz, miotasz się tu i tam jak wiatr zawieje, ale swojej drogi nie widzisz, bo jej nie masz. - Uśmiechnął się z pogardą. - Nienawidzisz dziadka tak samo jak ja, bo zmienił twoje życie w piekło, ale udajesz zrozpaczonego wnuka. Bo jedyny twój plan... twój i twojej matki... to przejąć Kingsley Holdings. Dlatego mówiliście te wszystkie kłamstwa, żeby oczernić mnie w oczach dziadka. Przed chwilą coś wspominałeś o sumieniu... Po tych wszystkich świństwach nie dręczą cię wyrzuty? Sypiasz normalnie?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz! - ostro zaprzeczył Philip, lecz nie był w stanie spojrzeć Brockowi w oczy.

- Te wszystkie wredne kłamstwa! Wymyślałeś... ty i twoja matka... najgorsze świństwa o mnie i wsączałeś to w Kingsleya, byle tylko do końca mnie znenawdził. Chodziło o testament, człowieku o wielkim sumieniu. Już widzę, jak skakaliście z radości, gdy wyjechaliśmy.

- Wyjechaliście? Zostaliście wyrzuceni! A dlaczego? Dziadek stworzył ci wszelkie możliwości, chciał, żebyś coś w życiu osiągnął, a ty zachowywałeś się jak jego wróg. Miał trzymać cię pod swoim dachem, miał cię karmić? - Phil w świętym oburzeniu wzniosł oczy do góry. - Czas, żebyś zdał sobie z tego sprawę!

- Uważaj, bo zaraz pójdziesz żywcem do nieba, święty pro roku - zadrwił Brock. - Dobrana z was para, ty i twoja matka.

Przez te wszystkie lata wciąż knuła przeciwko mnie, a ty, posłuszny synalek, pomagałeś jej w tym. - Spojrzał na kuzyna i po chwili dokończył: - Dobrze wiesz, Phil, że nie postępowaliście uczciwie. I to cię gnębi. Nie wiesz, jak sobie z tym poradzić, najlepiej więc zagłuszyć głos sumienia i atakować.

Philip milczał czas jakiś, coś próbował odpowiedzieć, wreszcie stwierdził tylko:

- Dziadek życzy sobie, żebyś przyjechał.

- Chyba nie wpadłeś tu po mnie? Na taką uprzejmość nie liczę, drogi kuzynie. - Brock tym razem był rozbawiony.

- Mam zabrać się ze sobą. Przyleciałem helikopterem.

- No to odlatuj, i to jak najprędzej. Pojadę do Mulgaree, gdy będę gotowy, czyli najwcześniej jutro.

- A jeśli jutro będzie za późno?

- Cóż, wola boska. - Brock wzruszył ramionami. - Jednak znając dziadka, poczeka na mnie. Nie przepuści okazji,

A b y przed ostatnią podróżą powiedziec mi to i owo.

- Nie drwij, on naprawdę umiera... Poza tym wiesz, ile kosztował mnie ten lot?

- Nie przejmuj się tak bardzo. I tak na tym zyskujesz. Przecież doniesiesz, że przyjadę, gdy zechcę.

- Nie licz na to, że będę milczał. W ciekawy sposób zabiegasz o pojednanie.

- Matomiast ty jak wytresowany piesek służysz swojej wrednej matce! - Brock znów był bliski wybuchu.

-Do diabła, dość tego! - warknął Philip. Wstał i spojrzał na Shelby. Zdaje się, że skończyliście. Chciałbym odprowadzić cię do hotelu i porozmawiać w cztery oczy.

- Żegnaj, Phil - powiedział Brock z naciskiem. Jego wzrok nie wróżył niczego dobrego.

- Idź do diabła, kuzynku. - Philipowi też niewiele brakowało do rękoczynów.

- Mam inne plany. Porządkuję swoje sprawy. Tobie też radzę tym się zająć.

- Myślisz, że pozwolę ci wygrać? Nie po to harowałem jak niewolnik, żeby nic z tego nie mieć.

- Ja też nie - ostro rzucił Brock.

Philip stał nad nimi, nie ruszając się z miejsca.

- Po prostu idź już. Nic nie mów. Ludzie patrzą na nas - nalegała Shelley.

- Niech się gapia. Wiesz, myślałem, że mogę na tobie polegać. Teraz zaczynam tracić do ciebie zaufanie.

-1 chwała Bogu - stwierdziła cierpko. - Proszę, idź już.

- Dobrze, pójdę... Shelley, nie sądziłem... - Patrzył na nią jak na kobietę upadłą. - Nie bądź aż tak głupia, żeby wierzyć Brockowi. Uwiódł już niejedną dziewczynę.

- Tak, to prawda... Ale nigdy żadnej nie skrzywdziłem - rzucił za nim Brock.

Harriet siedziała przy kasie, sprawdzając rachunki. Brock podszedł i wyciągnął portfel.

- Panno Crompton, posiłek był wyśmienity.

- Cieszę się... Przykro mi, że musiałam powiedzieć Philipowi, gdzie jesteście. Podobno dziadek gorzej się poczuł.

Brock wzruszył ramionami.

- Dowiem się, gdy wrócę.
- Mam nadzieję, że wszystko ułoży się po twojej myśli. A co słyszeć w Wybourne? - zwróciła się do Shelley.
- Zdaje się, że masz mnóstwo pracy.
 - Czekam na następną grupę Japończyków.
 - Jesteś prawdziwą bizneswoman. Co prawda nie sądziłam, że zajmiesz się właśnie turystyką. Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, zawsze możesz na mnie liczyć.
 - Dziękuję, panno Crompton. Wiem, że jest pani prawdziwą przyjaciółką. - Serdecznie uściśnęła jej dłoń.
 - Nie zapomnij o naszej wystawie.
 - Postaram się znaleźć czas.

Wracając do hotelu, usiedli na ławce w parku. Niebo błyszczało gwiazdami, a światło księżyca odbijało się w wodzie. Shelley potarła ramiona. Wieczorem na pustyni robiło się zimno, wiał chłodny wiatr. Brock siedział zamysłony.

- Jak wygląda niebo nad Irlandią? - spytała.
- Nie jest tak przejrzyste jak nasze - odezwał się po chwili. - Nic nie może się równać z niebem nad pustynią. Irlandia to inny świat, choć też ma swój urok. Moi przodkowie, gdy tu przyjeżdżali, musieli być przerażeni i zafascynowani Australią. Dzika, bezludna, nieskończona przestrzeń... Irlandia jest mała, ale pełna ludzi. Gdy tam pojechaliliśmy, rodzina babci zajęła się nami bardzo troskliwie. To życzliwi ludzie. Lubią opowiadać ciekawe historie i znają się na koniach. Natomiast pogoda jest przedziwna. Dla nas każdy deszcz to prawdziwe błogo-

sławieństwo losu, a tam wciąż pada. Nie leje jak u nas, tylko kropi, stąd nieustanna mgła. Dzięki temu na wsi jest zawsze zielono. Dobrze byś się tam czuła. Jak tajemnicza boginka Leanan-Sidhe.

- To jakaś wodna nimfa, która porywa dzieci?

- Nie, patronka poetów... - Objął jej ramiona. - Nie wiem, po co zacząłem taki temat.

- Nasza babcia, Moira, ciągle opowiadała nam bajki. - Zadumała się na chwilę. - Niektóre były przerażające, na przykład o wodnych nimfach. Jako dziecko myślałam, że Sean zobaczył taką nimfę i powędrował za nią w głębinę.

- Shelley, nie dręcz się tak nieustannie. Wprost nie mogę na to patrzeć. - Przyciągnął ją bliżej. - Straszne przeżycia z dzieciństwa mogą zniszczyć człowieka. Powinnaś skorzystać z fachowej pomocy, żeby wreszcie odzyskać spokój. Rozmawiałaś z kimś na ten temat?

- A niby z kim? Żyję sama ze swoimi problemami. Dotychczas nie korzystałam z pomocy lekarza, choć bardzo cenię doktor Sarah ze szpitala Koomera Bush. Robi wszystko, by wyleczyć moją mamę z depresji.

- A ojciec?

- Jest bardzo zgorzkniały. Stracił jedyne syna, a dla takiego człowieka jak on syn jest najważniejszy. Gdyby miał wybierać, które z bliźniąt wołałby poświęcić, na pewno wybrałby mnie.

- Jak możesz nadal go kochać, skoro cię odrzucił? - Był bardzo poruszony.

- Brock... - Wyprostowała się gwałtownie.

- Proszę, nie odsuwaj się ode mnie. - Pogładził jej dłoń.
- Zrozum, Brock, oni nadal cierpią. Nie mam zamiaru ich znienawidzić.

- Myślisz, że dzięki temu zostaniesz świętą?

- Nie, to nie tak. Bywają dni, kiedy zadaję sobie pytanie, dlaczego z nimi jeszcze jestem i ciężko pracuję, gdy ich to zupełnie nie obchodzi. Złości mnie to, ale chyba nigdy nie opuszczę rodziny.

- A jeśli wyjdiesz za mąż? Zastanawiam się, dlaczego jakiś zaradny facet, co oczywiście wyklucza mojego kuzyna, nie zdołał cię jeszcze usidlić.

- Usidlić? Trochę dziwnie to zabrzmiało... Ale rozumiem, o co ci chodzi. Pewnie mam wypisane na twarzy, że noszę w sobie ciężkie wspomnienia, których nie pozbędę się jak garbu. To odstrasza. - Oparła głowę na jego piersi.

- Ale nie Phila... Wiesz, jak dziś się zjawił u Harriet, to coś zrozumiałem. On zakochał się w tobie. Był załamany, gdy zobaczył nas razem.

Czuła bliskość Brocka, jego rękę na oparciu ławki, zapach męskiego ciała.

- Cóż mogę na to poradzić, że Philip wciąż za mną chodzi? Niewiele osób tu mieszka, więc razem bywamy na tańcach, widzujemy się też na spotkaniach towarzyskich. Sporo rozmawiamy z sobą, ale nie łączy mnie z nim żadne uczucie.

- Powinnaś powiedzieć mu to wprost. Łudzi się, że zostaniesz jego żoną, pewnie szykuje się z oświadczynami...

- Och, to zupełnie niemożliwe! - Roześmiała się. - Je-

go matka uważa, że dla jej synka nie jestem odpowiednią partią, więc sam rozumiesz, że z oświadczyn nici. - Dotąd nigdy nie drwiła z Phila, jednak teraz nie potrafiła się powstrzymać.

- Może to i lepiej, że Frances zupełnie nie zna się na ludziach. .. Co to, drżysz? Zimno ci?

Roztarta odsłonięte ramiona.

- Rozgrzeję się, gdy zaczniemy iść. Ta bluzka niewiele zasłania.

- Właśnie dlatego tak mi się podoba. - Wstał. - Nie mam marynarki, by cię rozgrzać, ale jest na to rada. - Objął ją. - Czas wracać do pubu.

Przyjazny gest nie powinien wywołać żadnych następstw, jednak tak się nie stało. Brock czuł narastające pożądanie. Wiatr rozwiął włosy Shelley, muskały go zaczepnie po policzku. Czuł dotyk jej szczupłego ciała, słyszał beztroski śmiech. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w roześmiane usta. Jej wargi zamarły.

- Shelley... - szepnął.

- Brock, co robisz? - spytała cicho, zafascynowana jego bliskością.

- Całuję cię. - Starał się za wszelką cenę zapanować nad ogarniającymi go emocjami.

- Zaczekaj. - Oparła dłoń na jego piersi.

- Jestem zbyt szybki? - Znów przyciągnął ją do siebie.

Była nieco przestraszona. Rzeczywiście działał zbyt szybko. Jednak doskonale zdawał sobie sprawę, co się z nią działo. Całował SeUey namiętnie, marząc, by unieść ją, za-

brać daleko stąd i pokazać, na czym polega prawdziwa miłość. Delikatnie dotykał jej skóry. Wyczuwał drzenie jej ciała i zapach włosów. Wiedział, że jeszcze chwila i sprawy potoczą się jak lawina.

Uwolnił ją z uścisku tak nagle, że odruchowo chwyciła go za koszulę. Była zdezorientowana. Wydawało się, że wszystko wokół faluje.

- Nie chciałem, żeby do tego doszło - powiedział, starając się opanować.

- Do głowy mi nie przyszło, że tak się zachowasz - stwierdziła bez cienia pretensji.

- Sama też tego chciałaś.

- Czyżby? - Uśmiechnęła się. - Myślałam, że będziesz mnie tak całował do rana.

- Bardzo bym chciał, ale muszę się opamiętać.

- Mogłabym wiedzieć, dlaczego?

- Chcesz znać prawdę? - Popatrzył jej w oczy - Jesteś zbyt słodka i delikatna, a ja zbyt spragniony. Nie zniósłbym rozstania we łzach.

Shelley wyprostowała się gwałtownie.

- Nie doprowadzisz mnie do płaczu - powiedziała zdecydowanie. - Liczne podboje przewróciły ci w głowie. To nie był nasz pierwszy pocałunek, wtedy jakoś udało mi się przeżyć.

- Tym razem było lepiej czy gorzej niż poprzednio?

Zrobił krok w jej kierunku. Cofnęła się.

- Powiedzmy, że było to nieco lepsze niż podanie ręki.

- Dlatego przez chwilę nie mogłaś stać o własnych si-

łach? - Uśmiechnął się. - Prawda wygląda tak, że teraz nie mogę sobie pozwolić na żaden romans, nawet jeśli nie marzę o niczym innym. Cała moja przyszłość jest zagrożona. I to jest najważniejsze.

- W takim razie zapomnijmy o wszystkim. Dla mnie to żaden problem. - Poprawiła włosy.

Roześmiał się.

- Nie wydaje mi się to takie proste.

- Brock, jesteś wcielonym diabłem, ale ja potrafię panować nad sobą.

- Naprawdę? Ciekawe, co by się stało, gdybym nie przestał cię całować. Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś piękna?

Takimi słowami mógł podbić serce każdej dziewczyny.

- Czy już pozwolisz mi odejść?

- Nie. Chcę, żebyś bezpiecznie wróciła do pubu, więc cię odprowadzę. Przyznasz, że jestem uprzejmy?

- Po drodze pewnie mi powiesz, że jestem inna niż wszystkie dziewczyny? - spytała cierpko.

- Oczywiście, że tak - Był wyraźnie rozbawiony. - Ze wszystkich dziewczyn, które całowałem, jesteś jedyną, która nie zamyka oczu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Podjechała jak najbliżej schodów przed frontowymi drzwiami domu Loganów. Po drodze doskwierał jej nieznośny upał. Obawiała się burzy piaskowej. W czasie suszy wiatr niszczył żyzną glebę, unosząc ją nad ocean. Wszyscy marzyli o deszczu, ale na niebie nie pojawiała się nawet pojedyncza chmura.

Miała nadzieję, że ktoś pomoże jej wyładować zakupy. Na Amandę nie mogła liczyć, bo siostra była potwornie leniwa. Zawsze w takich sytuacjach wymawiała się rzekomym bólem kręgosłupa. Jak ognia unikała wszelkiej fizycznej pracy, natomiast spędzała mnóstwo czasu, polegając wygodnie i czekając, że wreszcie wydarzy się coś ciekawego. Przed dziesiątą nigdy nie wstawała. Za to pisywała piosenki i dobrze grała na pianinie oraz gitarze.

Shelley nie zasłużyła na lekcje muzyki.

- Dlaczego chcesz nas narazić na dodatkowe wydatki? Przecież wiesz, że jest krucho z pieniędzmi - nieodmienne mówił ojciec, gdy wracała do tego tematu. Odwracał przy tym głowę, jakby nie mógł znieść jej widoku.

Cóż, przynajmniej wczoraj miała udany wieczór. Brock Tyson poruszył w niej wszystkie zmysły. Natomiast Phi-

lip... Za wszelką cenę próbował dać jasno do zrozumienia, że łączy go z nią poważny związek. Jeśli było to ostrzeżenie pod adresem Brocka, nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Natomiast ona nie mogła zasnąć, myśląc tylko o nim. Wyobrażała sobie, że jest w jego objęciach, wspominała każdy pocałunek...

Gdy wracali do hotelu, nie rozmawiali zbyt wiele, jednak marzyła, by oświetlona księżycem droga ciągnęła się w nieskończoność. Brock uprzedził ją, że wyjedzie wcześniej rano, ale któregoś dnia skorzysta z zaproszenia do Wybourne.

- Oczywiście jeśli twój ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu - dodał z uśmiechem.

Z jakiegoś powodu ojciec wolał Philipa, który potrafił zabiegać o jego względy. Brock był inny, dumny i szczerzy. Nie udawał szacunku wobec osób, które według niego na to nie zasługiwały. Shelley zdawała sobie sprawę, że jeśli zakocha się w Broeku, tylko napyta sobie biedy. Poskromienie jego charakteru graniczyłoby z cudem.

Była już w połowie rozładunku, gdy na werandę boso wkroczyła Amanda. Miała na sobie elegancką różową sukienkę.

- Wróciłaś? Jak podróż? - spytała radośnie.

- Gorąco jak w piekle.

- Ktoś musiał to zrobić. Skończyłam te listy, o które mnie prosiłaś.

- Dziękuję. Musiało ci to zająć mnóstwo czasu. - Pewnie dwadzieścia minut, dodała w myślach Shelley.

- Świetnie dajesz sobie radę - pochwaliła ją siostra.

- Dlaczego mi nie pomożesz? - Wniosła kilka toreb na werandę.

- Później. - Amanda machnęła ręką i z westchnieniem opadła na krzesło. - Strasznie gorąco. Może przywiozłaś trochę dietetycznej coli?

- Całą skrzynkę. Specjalnie dla ciebie. - Zeszła po kolejne torby.

" - Dzięki.

- Nie myśl, że ją przyniosę.

- Tata to zrobi, gdy wróci.

- A gdzie jest?

- Zagania było. Wiesz, że rano był tu twój narzeczony? Mówił interesujące rzeczy.

- Mój narzeczony, czyli kto? - spytała Shelley, choć znała odpowiedź. Cała rodzina usiłowała pchnąć ją w ramiona Philipa Kingsleya.

- Cóż za dowcip. Oczywiście Phil. Jeśli chcesz mojej rady...

- Nie chcę.

- Nie powinnaś go odtrącać. Hu znasz bogatych, przystojnych facetów, którzy są tobą zainteresowani?

- Znalazłoby się kilku bogatych.

- I prawie wszyscy żonaci. - Amanda westchnęła dramatycznie. Oczywiście nie martwiła się losem siostry, tylko swoim. Cóż, prawda była taka, że dramatycznie kurczyły się szanse na dobre zamążpójście. Na przykład z listy niedawno wypadł Mitch Claydon, który właśnie wziął ślub

z Christine Reardon, jej przyjaciółką z dzieciństwa. Może Christine była ładna, ale miała metr osiemdziesiąt wzrostu. Amanda uważała, że mając metr sześćdziesiąt pięć, była akurat dla Mitcha.

Zmęczona Shelley opadła na ratanowy fotel.

- Cóż drogi Philip miał do powiedzenia?

Amanda spojrzała na siostrę. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego Shelley ma tak doskonałą cerę, a ona, blondynka z miodowym odcieniem włosów, musi chronić się przed słońcem i wciąż smarować się różnymi kremami. Zresztą i tak nie zapobiegało to piegom.

- Wrócił Brock Tyson.

- Dziadek go wezwał - powiedziała Shelley, starając się nie zarumienić na wspomnienie Brocka.

- To by znaczyło, że pan Kingsley jest umierający. - Jakoś niespecjalnie się tym przejęła.

- Philip nic nie powiedział?

- Wspomniał tylko, że dziadek ostatnio nie czuje się najlepiej.

- Czy on nigdy nie potrafi powiedzieć czegoś wprost? Jest taki sam jak jego matka. Oboje są tak bardzo skryci. To prawie paranoja. Rex Kingsley rzeczywiście umiera.

- Podobno byłaś z Brockiem na kolacji?

- Tak - mruknęła obojętnie.

- Wydarzyło się coś więcej? Siostrze możesz powiedzieć. Pamiętam, że gdy miałaś szesnaście lat, oglądałaś się za nim.

- Nie tylko ja. Nadal jest interesujący.

- Zmienił się?

- Przystojny jak zawsze.

- I pewnie jak dawniej arogancki? - Amanda nie mogła mu wybaczyć, że nie zwracał na nią uwagi.

- Raczej pewny siebie. Nadal uwodzicielsko patrzy na kobiety tymi swoimi jasnymi oczami.

- Pewnie odziedziczył je po ojcu. Nic dziwnego, że stary Kingsley go nienawidzi. Za każdym razem, gdy spojrzy na Brocka, przypomina sobie jego ojca.

- Możliwe... Jednak ma też wiele cech po dziadku.

- Skończyło się tylko na kolacji?

- Czego się spodziewałaś? Dzikiej orgii?

- Nie w twoim przypadku. - Amanda wyduła usta. - To każdy wie.

- Odwrotnie niż ty. To też każdy wie.

- Nie przejmuję się tym.

-Może powinnaś? Mandy, jesteś moją siostrą, więc troszczę się o ciebie. Byłoby lepiej, gdybyś zachowywała się z większym dystansem.

- Mówisz tak, bo Mitch Claydon mnie rzucił.

Przypomniała sobie ten okropny dzień, kiedy Mitch dał jej jasno do zrozumienia, żeby sobie poszła.

- Nie rzucił cię, bo waszej znajomości nie traktował poważnie. W jego życiu zawsze istniała tylko jedna kobieta, Christine. Jest moją przyjaciółką. Bardzo ją lubię.

- Proszę cię, przestań! - Amanda chwyciła się za skronie, jakby nagle rozbolała ją głowa. - Nie mów nic więcej na jej temat. Zresztą Mitch Claydon już się dla mnie nie liczy.

- To dobrze, bo jest żonaty.

- Kiedy znów spotkasz się z Brockiem? - Wyraźnie widać było, że Amandzie coś przyszło do głowy. - Jeśli kręci się w pobliżu, mogłabym zająć się nim. Ty masz swojego Philipa. Już dawno powinnam ułożyć sobie życie. Skończyłam dwadzieścia pięć lat. Jestem ładna, inteligentna i utalentowana.

- Nie martw się. Znajdziesz odpowiedniego mężczyznę - zapewniła ją Shelley, której zrobiło się żal siostry. - Po prostu nie przejmuj się tak bardzo. Mam do ciebie prośbę: nie opowiadaj na lewo i prawo, że ja i Philip stanowimy parę. Bo to nieprawda. Nie zamierzam nikogo wprowadzać w błąd, a szczególnie Philipa, nie chcę też żadnych plotek.

- Słuchaj, czy ty w ogóle zamierzasz cieszyć się życiem? Czy też wolisz zaharować się na śmierć? Mama i tata zawsze będą w żałobie po Seanie. Nawet gdybyś umarła z przepracowania, nie robi to na nich wrażenia. Nie bądź głupia. Jeśli Philip Kingsley zaproponuje ci małżeństwo, a łatwo możesz go do tego zachęcić, powiedz, że się zgadzasz. Przynajmniej zależy mu na tobie. Rodzina też na tym skorzysta. Jeśli ciągle będziesz udawać, że jesteś nie do zdobycia, zaczną rozglądać się za kimś innym.

- Dobrze by zrobił... A rodzinie pomagam, jak potrafię. Mam jedną prośbę, przestańcie mnie swatać. Zwiążanie się z Philipem i Frances to po prostu samobójstwo.

- Zabrzmiało bardzo wzruszająco.

- Złe decyzje mogą zrujnować życie. Małżeństwo z miłości to loteria, ale małżeństwo z rozsądku byłoby dla mnie nieustającym cierpieniem. Nie można pokochać na rozkaz.

- Dorośnij wreszcie! - zawołała Amanda. - Nie musisz go kochać. Najważniejsze dla kobiety jest poczucie bezpieczeństwa. Ten facet zatroszczy się o ciebie i zapewni ci dobrobyt. Jest nawet dość przystojny. Właściwie byłby, gdyby wyprostował ramiona i chodził z uniesioną głową. Na pewno potrafiłabyś zmusić go do tego. Jeśli stary Kingsley umiera, Philip zajmie jego miejsce.

- To nie jest takie pewne. - Shelley miała już dość rozmowy na ten temat. Znajomość z Philipem podtrzymywała tylko dlatego, żeby zadowolić rodziców.

- Jak to nie jest pewne? Przecież odziedziczy majątek - cierpliwie tłumaczyła Amanda. - Zdajesz sobie sprawę, jaka to fortuna?

- Nawet jeśli odziedziczy, wkrótce zostanie z niczym.

- O czym ty mówisz? Jak to z niczym?

- Philip nie poradzi sobie z Kingsley Holdings. Co z tego, że ciężko pracuje, skoro zupełnie nie nadaje się do zarządzania. We wszystkim słucha się dziadka i matki, nie potrafi działać samodzielnie.

- Co z tego? Rozmawiamy o pieniądzach, pozycji, domu, a nie o jakimś tam zarządzaniu. - Prychnęła z pogardą.

- Można byle jak zarządzać niewielką farmą i jakoś to się kręci z roku na rok, ale Kingsley Holdings to potężna firma. Wymaga wieloletniej strategii działania, precyzyjnej analizy ekonomicznej... - Spojrzała na śmiertelnie znudzoną minę siostry. - Poza tym Phil nie jest jedynym wnukiem. Zapominasz o Brocku.

Amanda rzuciła jej przeciągłe spojrzenie.

- Chyba nie wierzysz, że Kingsley coś mu zapisze? Philip jest starszy i nie porzucił rodzinnego domu. Brock nie dostanie nic.

- W takim razie dlaczego dziadek zażyczył sobie, żeby przyjechał?

Przez chwilę siostry spoglądały na siebie w milczeniu.

- Ciekawe, że zdecydował się przyjechać - mruknęła Amanda.

- Dlaczego nie? Przecież Kingsley Holdings powstało głównie dzięki pieniądзом Brockwayów. Wszyscy wiedzą, że Rex Kingsley namówił żonę, aby przekazała mu wszystkie swoje pieniądze.

- Ten wyjątkowy skąpiec zawsze potrafił manipulować ludźmi. Nie chciałabym być na jego miejscu, gdy przyjdzie chwila na ostateczny rachunek sumienia.

- Brocka traktował wyjątkowo źle. Philip mówił ci o jego matce? - cicho spytała Shelley. - Biedna kobieta. Nie wiele miała z życia.

- Czyja to wina? - spytała zaczepnie Amanda. - Trzeba czegoś chcieć od życia, mieć jakiś cel. Nie można na zawsze zaszyć się w buszu. Dlaczego wróciła z mężem do Mulgaree? Stęskniła się za ojcem? Przecież wiedziała, co ją czeka.

- Amanda, przecież miała dziecko i żadnych pieniędzy. Była młoda i delikatna. Prawdziwa księżniczka, która nie opuszczała pałacu. Kingsley dopilnował, żeby nie poznała świata.

- Miała męża.

- Nie wiem, jak naprawdę wyglądało ich małżeństwo. W każdym razie zmarła, a Brock znów się tu zjawił. Tylko on potrafi poprowadzić interesy Kingsleya.

- Lepiej nie mów tego przy Philipie lub jego matce... Poza tym słabo znasz Brocka. Gdy wyjechał, chodziłaś jeszcze do szkoły. Powinnaś go dziś zaprosić, ale pewnie byłaś zbyt zajęta zakupami.

- Prawdę mówiąc, zaprosiłam go.

- Naprawdę? - Amanda wyprostowała się na krześle. - Co powiedział?

- Przyjdzie.

- Fantastycznie! Czasem zrobisz coś sensownego. Dawniej Brock trochę interesował się mną.

- Chyba ty nim. - Brock i Amanda? Tylko nie to!

- Na pewno nie interesował się tobą. Co się stanie, gdy Phil dowie się, że oglądasz się za Brockiem? Nie powinnaś narażać waszego związku, szczególnie teraz, gdy ważą się losy fortuny Kingsleya... Najlepiej powiedz mu, że Brock przyjdzie do mnie. Uwierzy, bo faceci uganiają się za mną.

- Poprawiła krótką, seksowną sukienkę.

- Najlepiej będzie, jeśli sama powiesz tacie, że Brock tu przyjdzie. Lepiej to zniesie.

- Żaden problem. Tata mnie kocha. Jestem jego pierworodną córką. Brock może się we mnie szaleńczo zakochać...

- Byłabym zaskoczona - stwierdziła oschle Shelley.

- Shel, przestań być zazdrosna.

- Tylko patrzę na to realistycznie. Raczej nie jesteś w jego typie.

- Jest mężczyzną, prawda? - Amanda wyciągnęła ręce nad głowę i przeciągnęła się leniwie. - To prawda, dawniej nie znaliśmy się zbyt blisko, jednak przez te wszystkie lata nabrałam dużo doświadczenia. Jeśli Brock jakimś cudem wróci do łask Kingsleya... to znaczy zostanie umieszczony w testamencie... będę miała pewność, że znalazłam mężczyznę swego życia.

Shelley zdała sobie sprawę, że siostra mówi najzupełniej poważnie. Mogła być pewna, że jeśli Brock wpadnie z wizytą, Amanda da z siebie wszystko, by zrobić na nim wrażenie. Lubiła spełniać męskie marzenia.

Dziadek Brocka leżał w masywnym, dębowym łożu. Kiedyś ogromny i zwalisty, teraz zajmował niewiele miejsca na pościeli. Miał zapadnięte policzki, jego oczy straciły dawny blask i wszelką moc. Brock, mimo przepełniającej go nienawiści, patrzył na to ze smutkiem. Rex Kingsley, człowiek twardy i brutalny, teraz wyglądał na kogoś, kto już nie walczy, tylko pokornie godzi się z nieuniknionym losem.

Obok łóżka siedziała pielęgniarka, kompetentna pani w średnim wieku.

- Och, pan Tyson - przywitała go z uśmiechem.
- Jak on się czuje? - spytał cicho.
- Dziś nie najlepiej, ale czekał na pana.
- Dziękuję, siostrze. Posiedzę z nim przez chwilę. Może pani zrobić sobie przerwę.
- Może ma pan ochotę na kawę lub herbatę?

- Nie, dziękuję.
- Będę w pobliżu.

Brock usiadł na krześle obok wiktoriańskiego łóżka.

Było oczywiste, że wszystko ulegnie zmianie po śmierci dziadka. Frances, jako matka przyszłego dziedzica, już przejmowała rządy w Mulgaree, Philip zaś bez szemrania wykonywał wszystkie jej polecenia. Będzie więc dziedzicem tylko nominalnie...

Brock spojrzął na dziadka. Boże, co ja tu robię, pomyślał, zakrywając twarz dłońmi. Nienawidził tego człowieka z całego serca. W tak straszny sposób potraktował jego matkę. Czy tylko dlatego, że pokochała niewłaściwego mężczyznę? I tak jednak zniszczył jej małżeństwo, bo Rory Tyson uciekł z Mulgaree.

Ciekawe. Matka zawsze twierdziła, że jego ojciec nie był słabym człowiekiem. Pobyt w Mulgaree traktował jak chwilowe zesłanie, trzymała go tu tylko miłość do żony i dziecka. Nie poddawał się, zamierzał odmienić los swojej rodziny... a jednak ją opuścił. Dlaczego?

Był pewien, że dziadek spowodował zniknięcie ojca. Później dał się omotać Philipowi i Frances, w konsekwencji czego Brock i jego matka musieli się wynieść.

Zdawał sobie sprawę, że była to zwykła ucieczka, bo nie mieli szans w tej walce. Mimo to matka powtarzała mu wielokrotnie: „Synku, przyszłość Mulgaree będzie zależeć wyłącznie od ciebie”. Jej głos nadal dźwięczał mu w uszach. Łatwo było uwierzyć w jej zapewnienia, bo zawsze czuł wielki sentyment do tej ziemi. Teraz wszystko zależało od

ostatniej woli dziadka, od człowieka, który był jego wrogiem. „Będę troszczyć się o ciebie po śmierci” - brzmiały ostatecznie słowa matki. Jednak Brock mocno wątpił, by istniała możliwość takiej ingerencji z zaświatów.

Pomyślał o Shelley Logan. Przy niej zapominał o zmar twieniach, zarazem jednak pamiętał o jej smutnym, pełnym niezawinionego bólu życiu. Nie chciał, by cierpiała także z jego powodu. To powstrzymywało go w kontak tach z nią. Jego przyszłość była niejasna, ale przede wszystkim bał się, że odziedziczył po dziadku niebezpieczne dla innych skazy charakteru, które w jakimś momencie mogą dać znać o sobie. Wprawdzie w Irlandii stosunki z ludźmi układały mu się świetnie, nawiązał wiele przyjaźni, tryskał energią i radością, jednak po powrocie do Australii stał się ponury i podatny na złe emocje. Czy to była jego prawdziwa natura?

Wiedział, dlaczego dziadek go tu wezwał. Nienawiść nienawiścią, ale tylko on był w stanie sprawnie zarządzać Mulgaree i innymi farmami.

- Kim jesteś? - spytał Rex Kingsley z przerażeniem. - Odejdź ode mnie!

Wbrew swej woli, Brock poczuł litość dla konającego starca.

- Jestem twoim wnukiem. Chciałeś, żebym przyjechał, pamiętasz? Przyjrzyj mi się uważnie. To ja, Brock.

- Precz stąd! Nigdy tu nie przychodź! - zachrypiął prze raźliwie.

- Uspokój się. Już wychodzę. - Brock wstał.

- Pozwól mi umrzeć w spokoju... - Rex Kingsley już nie krzyczał, tylko błagał.
- Nie będę cię nachodził. Zaraz zawołam pielęgniarkę.
- Ruszył ku drzwiom.
- Zniszczyłem cię...
- O to ci chodziło, prawda? - Brock natychmiast się odwrócił. - Po to mnie wezwałeś, żeby do końca ziać nienawiścią?
- Gdzie moja córka? Gdzie moja Catherine? - spytał gorączkowo.
- Umarła jakiś czas temu. Wkrótce zrobisz to samo...
Wreszcie jest wolna.
- Daniel! Mój Boże, to ty, Daniel Brockway Tyson, mój wnuk... - Starzec gwałtownie oprzytomniał, jego oczy patrzyły bystro, przenikliwie. Zarazem skrzywił się od potwornego bólu, którego żadne leki nie były już w stanie uśmierzyć.
- Wróc tu...
- Czego chcesz ode mnie, dziadku? - Brock podszedł do łóżka. - Nienawidzisz, a zarazem potrzebujesz mnie... Nie daje ci to spokoju, prawda?
- Starzec chwycił go za rękę.
- Daniel, byłeś odważnym chłopcem, niczego... ani nikogo się nie bałeś. O takim wnuku marzyłem, takiego wnuka miałem. - Przerwał na chwilę. - Kochałem cię...
- Co? I dlatego tak strasznie mnie traktowałeś?
- Byłeś dziki, nieposkromiony, musiałem coś z tym zrobić. - Wciąż kurczowo trzymał jego dłoń. - Ale w głębi ducha byłem z ciebie dumny. Twardy, niezależ-

ny chłopak... Imponowało mi, gdy tak nagle znikaeś, przepadaeś jak kamień w wodę. Wysyłałem za tobą najlepszych tropicieli, Aborygenów, ale zawsze znikaeś bez śladu na pustyni.

- Może szukali tam, gdzie mnie nie było. - Ludzie bali się Kingsleya i zawsze bez szemrania robili to, co im kazał, jednak na wyprawy niepokornego wnuka patrzyli przez palce, a tak naprawdę skrycie mu dopingowali.

- Wiem, wiem, chronili ciebie, choć nie mieli do tego prawa. To ja jestem twoim dziadkiem. Robiłem to, co uważałem za najlepsze. Musiałem cię poskromić, utemperować. Nie chciałem, żebyś był jak twój ojciec.

- Nic o nim nie mów. Nie pozwalałem! - Brock podniósł głos. Wciąż czuł żal do ojca, który go opuścił, jednak szczególnie przed dziadkiem gotów był bronić go do upadłego.

- Zostawił was, uciekł... - Kingsley spojrział na wnuka.
- Masz jego oczy.

- A ty nie możesz się z tym pogodzić.

Kingsley przesunął głowę na poduszce.

- Tak bardzo kochałem Catherine. Dałem jej wszystko, czego chciała.

- Oprócz wolności.

- A jednak ja byłem dla niej ważniejszy niż twój ojciec.
- W jego głosie zabrzmiała satysfakcja. - To prawda, kiedy zabroniłem jej się z nim spotykać, oszukała mnie, uciekła, wzięła ślub... to on ją do tego namówił, sama by się nie odważyła... mimo to wciąż ją kochałem... no i wróciła do Mulgaree, nie potrafiła żyć poza...

- Czy zdajesz sobie sprawę, jakie krzywdy nam wyrządziłeś? - ostro przerwał mu Brock.

Starzec przymknął powieki. Przerażliwie chudy, znieruchomiały, wyglądał jak na marach.

- Chciałem dla was jak... najlepiej...

- Wiesz, że niedługo staniesz przed Bogiem. On wszystko zważy, policzy, całe twoje życie. I co mu powiesz? Nie wiele masz na swoją obronę... dlatego chcesz, bym ci przed śmiercią wybaczył. Tego pragniesz, prawda?

- Tak, Danielu... mój wnuku...

- Chciałbym ci wybaczyć, bo tak nakazuje nam Chrystus, ale nie potrafię. To przez ciebie moja matka zmarła. Zabiły ją cierpienia i zgryzota. Tylko ona mogłaby ci wybaczyć, lecz nie może tego uczynić.

- Ależ ona tu jest. Pogodziłem się z nią. - Kingsley wskazał ciemny kąt pokoju.

Widomy znak, że konający zaczynał majaczyć.

- Co z Philipem i Frances? Pogodziłeś się z nimi? Też nie było między wami jak należy... Philip wierzy, że jest twoim spadkobiercą.

- To ty będziesz musiał o nich zadbać... zgodnie ze swoją wolą...- Mówił z coraz większym trudem. - Mulgaree należy do ciebie. Stworzyłem je, a ty je utrzymasz i powiększysz. Potem przekazesz swojemu synowi... wnukowi Catherine... mojemu prawnukowi.

- Próbujesz oszukać swoje sumienie.

- Nazywaj to, jak chcesz! - Znów był dawnym, gniewnym Reksem Kingsleyem. - Ale tylko ty poradzisz sobie z Mulga-

ree. Wierzyłem, że Philip temu podoła, ale to był błąd. On może tylko biegać na posyłki - zakończył z pogardą.

- Skąd pewność, że również mnie to nie przerasta? - Brock spojrział mu w oczy.

- Zniosłeś wszystko. Jesteś twardy, niezależny, bystry. Philip pełza u podnóża góry, a ty ją zdobywasz... - Zakaszłał, chwilę milczał, zbierał się w sobie. - Dla takich jak ty są szczyty... władza, pieniądze. Musisz stać się kimś wielkim. Jesteś symbolem Kingsley Holdings. Chcę, żebyś zmienił nazwisko. Daniel Brockway Kingsley. Rozumiesz?

- Mam się wyrzec ojca?

- Nigdy nie był dla ciebie prawdziwym ojcem! To ja dbałem o rodzinę! - Ten wybuch wiele go kosztował. Zdołał jednak jeszcze wyszeptać. - Catherine, Aaron, Frances... dałem im wszystko... wszystko...

Oprócz odrobiny serca, pomyślał Brock.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Koniec nie nadchodził. Rex Kingsley, mimo morfiny, straszliwie cierpiał, przy życiu trzymała go jedynie żelazna siła woli. Miał jeszcze sprawy do załatwienia. Czekał na Geralda Maitlanda ze znanej firmy prawniczej Maitland Pearson. Był tu już kilka tygodni wcześniej, lecz Kingsley wzywał go powtórnie.

- Jak sądzisz, co to może znaczyć? - Frances Kingsley, świetnie trzymająca się brunetka po pięćdziesiątce, z niepokojem spojrzała na syna. - Czyżby Brock podstępnie wkradł się w łaski dziadka? Przecież nie może dziedziczyć. Jesteś starszy i nie uciekłeś stąd. Razem tu tkwiliśmy.

- A jednak dziadek chciał, by to Brock był przy nim wczoraj wieczorem - powiedział z goryczą Philip. - To dziwne, bardzo dziwne...

- Nie kocha go - zapewniła pospiesznie, jakby chciała przekonać samą siebie. - Tylko chce, żeby mu przebaczył. Gdy zrozumiał, że umrze, zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia.

- My też coś mamy na sumieniu - ponuro stwierdził Philip. Od dnia, gdy dowiedział się o przedwczesnej śmierci ciotki Catherine, ze zdwojoną mocą dręczyło go poczucie winy.

- Philip, o tym nie będziemy rozmawiać! - wybuchnęła Frances. - Zrobiłam, co mogłam, żeby Mulgaree przeszło w twoje ręce.

- Wiem, mammo... ale to nie było uczciwe. Powiedziałaś tyle kłamstw o Brocku i cioci Catherine. Zawsze była dla mnie miła, a ty zachowywałaś się okropnie wobec Brocka. Przykro mi, że ciocia zmarła z dala od domu. Żałuję wielu rzeczy... inaczej bym dziś postąpił. A twoje kłamstwa były jak drażnienie byka.

- Byk w nie wierzył. - Uśmiechnęła ze złośliwą satysfakcją. - Zrobi ci się naprawdę przykro, jeśli nie przejmiesz majątku.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że tak się nie stanie.

Jednak Philip wiedział swoje. Nie był na tyle głupi, by nie znać swoich możliwości. Prawda była taka, że kompletnie nie nadawał się na właściciela Kingsley Holdings. Czuł, że gdyby jednak do tego doszło, fortuna szybko rozeszła-by mu się w palcach. Tego by nie dopilnował, tamtego nie umiałby załatwić, coś by przeoczył... a najgorsze, że ludzie kompletnie go nie szanowali. Natomiast Brock świetnie nadawał się do tej roli. Energiczny, niezwykle bystry, poza tym w naturalny sposób wzbudzał respekt...

- Moglibyśmy zapobiec nieszczęściu - stwierdziła Frances, nie patrząc synowi w oczy.

- Mammo, ja tego nie słyszałem. Dziadek umiera, ale nie zamierzam niczego przyspieszać. - Zmarszczył czoło. - Oprócz tego pielęgniarka prawie cały czas jest przy nim.

- Poradzę sobie z nią. - Wyprostowała się, jakby szyko-

wała się do działania. - Synu, zupełnie nie doceniasz niebezpieczeństwa. ..

- Jakiego? - spytał Brock, bezszelestnie wchodząc do środka. Wydało mu się, że w oczach Frances na chwilę pojawił się lęk.

- Powinieneś wreszcie nauczyć się odrobiny kultury. To prywatna rozmowa - stwierdziła.

- Oczywiście na temat dziadka. - Z trudem ukrywał wrogość.

- Teraz nazywasz go dziadkiem? To już nie Kingsley albo staruch? - spytał Philip.

- Phil, lepiej uważaj, co mówisz i robisz.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Doskonale rozumiesz.

- Brock, do czego zmierzasz? - spytała wrogo Frances.

-A zmierzam, zmierzam... Ale to później. Teraz potrzebuję kluczyków do helikoptera. Planuję krótką wycieczkę.

- Nie ma mowy! - Poczzerwieniały ze złości Philip zerwał się z fotela.

- Już to ustaliłem z dziadkiem.

- Co? Przecież nie znasz się na pilotażu!

- Phil, spokojnie. Mam licencję, w Irlandii wylatałem pięć tysięcy godzin. Często woziłem szefa do Anglii i Francji.

- Widzę, Brock, że znasz się na wszystkim. - Frances szyderczo się uśmiechnęła. Już jako chłopak świetnie sobie radził, a teraz był silnym, twardym i bystrym mężczyzną, co oznaczało kłopoty.

- Na pewno latałeś na innym helikopterze - mruknął Philip, robiąc krok w stronę wieszaka, na którym umieszczono pęki starannie podpisanych kluczy.

- Poradzę sobie.

- Dokąd się wybierasz? - Philip, choć nienawidził siebie za to, jak zwykle zaczął ustępować Brockowi.

- Do Wybourne. Obiecałem Shelley, że wpadnę zobaczyć, jak daje sobie radę z firmą turystyczną.

- Shelley?! Ona jest moja! - Philip zarazem wściekał się, jak i żalił niczym skrzywdzone dziecko.

- Możesz sobie tylko pomarzyć, kuzynku.

- Philip, przestań. - Frances ze złością spojrzała na syna.
- Loganowie są nikim. Mówią, że Patrick ostro pije, jego żona nie wychodzi z pokoju, a Amanda jest dziwką. Zaś co do Shelley...

- Nie mów nic na Shelley! - Philip odważył się rzucić matce wrogie spojrzenie. - Jest piękna, dobra i mądra.

- No, no, czasami uda ci się nie skłamać. - Brock uśmiechnął się lekko. - Masz rację, Shelley niczego nie można zarzucić.

- Trzymaj od niej łapy z daleka! - warknął Philip. - To moja dziewczyna. Kiedyś poproszę ją o rękę.

- Po moim trupie! - krzyknęła Frances. - Loganowie są z zupełnie innej sfery niż my. To prostaki. Tylko Shelley jako tako potrafi się zachować. Ostatecznie możesz się z nią spotykać przez jakiś czas, a nawet tu zaprosić, ale o niczym innym nawet nie myśl. Nie pozwolę na taki mezalians!

- Mamo, jesteś straszną snobką! - Philip aż spurpurowiał ze wstydu i złości, widząc kpiący wzrok Brocka.

Ten zaś stwierdził ze śmiertelną powagą:

- To prawda, mezalians jest straszną zbrodnią. Na przykład dziadek twierdził, że jego jedyny syn, Aaron, popełnił coś takiego.

Frances spurpurowiała ze złości.

- Jak śmiesz? Pochodzę z szanowanej rodziny. Nie uciekłabym od rodziców z jakimś awanturnikiem bez grosza, jak to zrobiła twoja droga matka.

- Awanturnikiem, powiadasz... - Brock posłał jej mroczne spojrzenie. - Być może i był awanturnikiem, ale na pewno nie Judaszem... jak ty. - Wręcz przygwoździł ją wzrokiem. - A teraz, skoro już wymieniliśmy uprzejmości, proszę mi wybaczyć. - Sięgnął po kluczyki.

- Gdybyś mnie uprzedził, mógłbym cię zawieźć do Wybourne - nagle stwierdził Philip.

- Możemy lecieć razem.

- Co ty? Mówisz poważnie?

- Zawsze mówię to, co myślę.

Frances spojrzała na syna.

- Philip, zabraniam ci wyjeżdżać. Dziadek w każdej chwili może umrzeć, a ty...

- Nie załatwił wszystkich spraw, więc jeszcze trochę pożyje - przerwał jej Brock. - Czeka na Geralda Maitlanda. Poczciwy Gerald! Frances, nadal jesteście dobrymi przyjaciółmi? - Rzucił jej cyniczne spojrzenie.

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Zaczerwieniła się. - Znamy

się od wielu lat, byłam na pogrzebie jego żony... Zresztą, co ci do tego? - Jej oczy błysnęły wrogo. - Majątek odziedziczy Philip. Zapamiętaj to sobie.

- A jeśli Phil nie ma ochoty na te wszystkie obowiązki? Pomyślałaś o tym? Jeśli nie, to zrób to teraz. W ciszy i samotności. - Skłonił się jej lekko. - Wrócimy późnym popołudniem.

Brock wylądował na obszernym trawniku przed budynkiem w Wybourne.

- Nie powinieneś tego robić! - skarcił go Philip. - Pan Logan będzie niezadowolony. Narobiłeś tyle hałasu...

- Może to go obudzi - spokojnie odparł Brock.

Amanda zamachała ręką z werandy. Nie odrywała oczu od Brocka. Dobrze, że przyleciał z Philipem, pomyślała. Zajmie się Shelley, a ona przypości szturm na Brocka.

Gdy podeszli, zarzuciła Brockowi ręce na szyję. Ucałowała go w oba policzki, jakby byli najbliższymi przyjaciółmi.

- Witaj, Brock. Bardzo się cieszę, że wróciłeś. - Spojrzała na Philipa. - Co słysząc, Phil?

Jak zwykle sprawiał wrażenie, jakby dźwigał na barkach cały ziemski glob. Co za nudziarz! - pomyślała.

- Bywało lepiej. Dziadek jest umierający.

- Tak mi przykro. - Oczywiście posmutniała jak należy, choć w rzeczywistości uważała, że im szybciej to się stanie, tym lepiej.

- Gdzie Shelley? - Brock zastanawiał się, czy uda mu się

uwolnić od kurczowego uścisku Amandy bez specjalistycznych narzędzi.

- Zaraz przyjdzie. - Kochana siostra nieco straciła dobry humor. - Przygotowuje lunch.

Wskazała długi stół na werandzie, już nakryty do posiłku.

- Może powinnaś jej pomóc? - usłużnie zaproponował Brock. - My natomiast posiedzimy sobie w cieniu, jeśli można. Czy będziemy mieli przyjemność przywitać się z twoimi rodzicami? Dawno ich nie widziałem.

- Przykro mi, ale tata zawiózł mamę do Koomera Crossing - skłamała Amanda z zimną krwią. Miała w tym duże doświadczenie. Ojciec właśnie cierpiał na strasznego kaca, a pogrążona w depresji matka zaległa kamieniem w sypialni. - Mama ma wizytę u doktor Sarah.

- Może następnym razem będę miał więcej szczęścia. - Brock oczywiście domyślił się prawdy.

- Przepraszam, że dopiero teraz was witam. - Na werandę weszła Shelley. Uśmiechnęła się z udawaną obojętnością. Nie chciała demonstracyjnie okazywać zainteresowania Brockiem. - Usłyszałam helikopter.

- Kto by nie usłyszał? - Philip położył rękę na jej ramieniu. - Mówiłem Brockowi, żeby nie siadał tak blisko, ale to całe jego latanie... - Machnął pogardliwie ręką. - Na szczęście twoich rodziców nie ma w domu.

- To dobre miejsce na lądowisko. - Shelley pominęła milczeniem kłamstwo siostry. - Blisko domu, od razu jest się u celu.

- Nie zamierzaliśmy wpraszać się na lunch. - Brock nie mógł oderwać od niej oczu. Miała na sobie różową bluzkę luźno wypuszczoną na dzinsy. Podobno rudzielcom nie jest dobrze w różowym, ale Shelley przeczyła tej regule.

- Ależ to żaden kłopot, wszystko już przygotowałam.

- Może w czymś pomóc?

Philip odsunął się od balustrady.

- Pozwól, że ja pomogę. Ty zostań i porozmawiaj z Amandą.

- Jeszcze zdążymy porozmawiać. - Brock ruszył za Shelley do środka. - Mam mnóstwo pytań, bo też przymierzam się do turystyki.

Amanda poczuła się urażona, ale gotowa była schować dumę do kieszeni i pójść za nimi, jednak Philip poprosił ją o coś do picia, patrząc przy tym na dzbanek z lemoniadą stojący na stole. Chcąc nie chcąc, Amanda musiała obsłużyć gościa, a potem wdać się z nim w pogawędkę.

Jasna kuchnia kontrastowała z resztą ponurego domu. Brock oparł się o blat i obserwował Shelley. Nie straciła pewności siebie pod jego spojrzeniem, jakby nie pamiętała o namiętnych pocałunkach. Dopiero po chwili zauważył, że lekko drżą jej dłonie.

- To była tylko wymówka? - spytała. - Nie zamierzasz zajmować się turystami?

- Nie będę miał czasu. Kierowanie imperium Kingsleya to praca od świtu do nocy.

- To już ostatecznie postanowione?

- Co masz na myśli?

- Dziadek ci to obiecał?
- Wybacz, ale za wcześnie o tym mówić.
- Oczywiście, przepraszam za wścibstwo.
- Och, nic się nie stało.

Niesforny lok opadł jej na czoło, więc Brock przesunął go za ucho, delikatnie dotykając policzka Shelley. Oboje wiedzieli, jak bardzo na siebie działają.

- Pamiętaj, co sobie obiecałeś, Brock.
- Przy tobie to zupełnie niemożliwe. - Starał się opanować narastające pożądanie.

- Nie potrafisz żyć bez kobiet.

- Być może... ale kochałem tylko matkę. Problem w tym, że gdy tylko o niej pomyślę, zaraz przypomina mi się dziadek. To tyran, oszust i kłamca, prawdziwy diabeł. Jeśli chodzi o niego, tylko jednego mogę być pewny: pragnie, by Kingsley Holdings rozwijał się jak za jego rządów.

- A to znaczy, że tylko ty możesz zająć miejsce dziadka. Dla Philipa to będzie klęska. Ciężko pracował, zniósł tyle upokorzeń.

- Tak bardzo mu współczujesz? Bo ja nie.
- Więc po co wzięłeś go ze sobą?
- Strategia nakazuje, bym nie spuszczał go z oczu.
- Strategia? - wzdrygnęła się. - Zaczynasz postępować jak Rex Kingsley.

- Nie mów tak nawet w żartach - rzucił ze złością. - Shelley, nie próbuj mnie osądzać. Zawsze kieruję się jakąś strategią, nigdy nie działałam pochopnie, bez planu.

- Nie osądzam cię. Jestem po twojej stronie, więc nie

patrz na mnie tak nieprzyjaźnie. Nie chcę, żebyś został skrzywdzony, ale nie chcę też, byś mścił się za to, jak potraktowano ciebie i twoją matkę. A co do Philipa... Wydaje mi się, że nie on jest niebezpieczny, tylko Frances. To ona o wszystkim decyduje.

- Ciekawe, ciekawe... Czy jeszcze czegoś nie wiem?
- Daruj sobie te zgryźliwości. To nie jest miłe.
- Dlatego wolisz Phila? Bo taki milusiński z niego?
- Przynajmniej nie jest groźny.
- Jeszcze go dobrze nie poznałaś, Shelley. Poza tym przepadasz za moimi pocałunkami. Więc moje na wierzchu.
- Nie jesteś zbyt pewny siebie?
- Po prostu znam kobiety.
- Jeszcze ci się nie znudziły?
- Teraz interesuje mnie wyłącznie pewna dziewczyna z sąsiedztwa.

Zarumieniła się.

- Byłeś kiedyś zakochany?
- Ja się nie zakochuję. - Kpiąco uśmiechnął się.
- Szkoda.

Sięgnęła po duży półmisek z zielonym groszkiem, czerwoną papryką i młodą cebulą. Dodała lodową sałatę, oliwki i ozdobiła całość majonezem.

- Jestem pod wrażeniem. - Ujął jej dłoń.
- Przestań! - Cofnęła rękę.
- Rozpuszczasz czasami włosy?
- Rozpiera cię energia, więc zaniesiesz jedzenie.
- Dobrze, proszę pani. - Uśmiechnął się. - Oba półmis-

ki? - Wskazał grube plastry piersi z kurczaka rozłożone na spaghetti.

- Poradzisz sobie?

- Jak nie, to będziemy jedli z podłogi. - Uśmiechnął się - Wiesz, że moja mama nie potrafiła gotować? Zanim opuściliśmy Mulgaree, nawet nie zaglądała do kuchni, bo wszystko robiła Eula, gosposia dziadka.

- Często spotykam ją w mieście. Była załamana, gdy wyjechaliście. Pewnie ucieszyła się na twój widok?

- Tak, bardzo.

- To kto zajmował się kuchnią, kiedy byliście w Irlandii? Czyżbyś nauczył się gotować?

- Tak trudno w to uwierzyć?

- Brock, wiem, że wszystko potrafisz. To jeden z niewielu pewników na tym świecie.

- Znam jeszcze jeden.

-Jaki?

- A taki, że chcę cię pocałować.

Shelley zamilkła na chwilę.

- Co dobrego z tego wyniknie? - spytała w końcu.

- Kto wie? Zresztą może lepiej będzie, jak się zamknę. - Ten flirt przemieniał się w coś bardzo niebezpiecznego.

- Nie chcę, żebyś przestał ze mną rozmawiać.

- Shelley... - Przerwał, bo w korytarzu rozległy się kroki, i szybko dodał cicho: - Nigdy bym cię nie skrzywdził.

- To może się stać mimo woli.

- Nie bawię się z tobą w żadne gierki. Chcę zmienić swoje życie, ale nie potrafię. Teraz waży się moja przyszłość...

- Co was tu zatrzymało? - spytała z pretensją Amanda, wchodząc do kuchni. - Shel, mówiłaś, że lunch jest gotowy.

- Prawie gotowy. Właśnie przyprawiałam sałatkę - odpowiedziała spokojnie Shelley. - Mandy, możesz zabrać koszyk z bułkami?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Amanda i Philip oczywiście przyłączyli się do wycieczki przez busz, którą Shelley planowała tylko z Brockiem.

Przedtem Philip uparł się, że pomoże Shelley pozmywać, natomiast Amanda i Brock dopijali lodowate piwo. Nie zamierzała przepuścić okazji, żeby bliżej zaprzyjaźnić się z Brockiem Tysonem. Co prawda zaniepokoiły ją spojrzenia, jakie rzucał Shelley, ale powtarzała sobie, że siostra ma już narzeczonego.

Philip był doskonałym materiałem na męża. Bogaty i z przyszłością. Z kolei przyszłość Brocka była niepewna, zależała bowiem od ostatniej woli jego dziadka. Amanda, zgodnie ze swoim charakterem, najchętniej zakotwiczyła by na stałe wśród zamożnych nierobów, więc nie snuła na razie konkretnych planów związanych z Brockiem, oczywiście poza towarzyskimi... no, może trochę więcej niż towarzyskimi.

Brock jak zwykle prowadził samochód, Shelley siedziała obok jako pilot. Wskazywała miejsca, które szczególnie interesowały turystów. Philip milczał, natomiast Amanda zza pleców Brocka wciąż marudziła, że jest wiele ciekawszych miejsc do zwiedzenia.

- W aucie jest strasznie gorąco - zaczęła narzekać. - Może lepiej popływamy?

Brock widział jej odbicie w lusterku. Była jak słodkie ciastko, które natychmiast należy schrupać. Bez trudu wychwytował jej sygnały. Szukająca przygód, romansowa dziewczyna. Pewnie w innej sytuacji skorzystałby z zaproszenia na jedną czy dwie noce, jednak od kiedy odnowił znajomość z Shelley, takie figle kompletnie przestały go interesować. Zupełnie jak nie on, stał się absolutnie monotematyczny.

Niežnośny upał rekompensowały wspaniałe widoki. Barwy zmieniały się z upływem każdej godziny. Odległe wzgórze, naturalne skalne rzeźby, dzikie rośliny, które potrafiły przetrwać na wyschniętej glebie, wzorzyste połacie spękanej gliny.

Podziwiał dawno nieoglądane widoki, gdy Shelley powiedziała, spoglądając na niego:

- Jak tak dalej pójdzie, straty będą ogromne.
- Susza nie trwa wiecznie.
- Brock, nie mieliśmy deszczu od niemal dwóch lat.
- Wiem, ale w końcu nadejdzie burza lub tropikalny cyklon z północy.
- Wtedy zaleje nas powódź - stwierdziła Amanda.
- Być może, ale na pustynię wróci życie. Najpiękniejszy widok, jaki mogłem podziwiać, to Channel Country po pompie z nieba. Kwiaty aż po horyzont!
- Ubóstwiam rysować dzikie kwiaty - rozmarzyła się Shelley.

- Och, przestań, maleńka - zadrwiła Amanda. - Też mi przyjemność, rysować jakieś badyle. Niedobrze z tobą, Shelley. Brock, lepiej wujmy z tego tematu, bo moja siostra zanudzi nas opisywaniem różnych żalonych roślinek.

- Shelley jest artystką - wtrącił Philip. - Jej rysunki są znakomite. Powinna rozwijać talent, a nie wypruwać sobie żyły, żeby utrzymać dom.

- Lubię swoją pracę - zaproponowała szybko. - Poza tym dużo się uczę.

- Nauczyłabyś się dużo więcej, gdybyś podróżowała i poznawała świat - nie ustępował Phil.

- W takim razie może już czas, żebyś się z nią ożenił? - spytała Amanda.

- Dziękuję za radę, ale to nasza sprawa - stwierdził ostro.

- Nie przyszło wam do głowy, że Shelley może nie mieć na to ochoty? - Brock z trudem hamował złość.

- Ależ ona chce. - Amanda uśmiechnęła się prowokacyjnie. - Wciąż mi o tym mówi, przynajmniej raz w ciągu dnia.

- Przestań zmyślać. - Shelley zaczynała być wściekła.

- Speszyla się. - Amanda znacząco trąciła Philipa. - Dobrze, Shel, jak sobie życzysz.

- To już koniec wycieczki, Brock Teraz możemy ochłodzić się nad strumieniem. - Shelley wskazała kępę drzew, zza której połykiwała woda.

- Chętnie.

Znalazł zacienione miejsce wśród kwitnących roślin i zaparkował dżipa. W okręgu Channel Country było wiele

takich uroczych zakątków, kontrastujących z ciągnącą się po horyzont pustynią. Gdy się zbliżali, stado papug uniosło się znad oczka wodnego i ukryło wśród drzew.

Amanda pobiegła pierwsza, starając się wyeksponować swoje wdzięki. Miała na sobie kusą i bardzo obcisłą bawełnianą koszulkę oraz szorty tak krótkie, że odsłaniały pośladki. W takim stroju i z rozpuszczonymi, jasnymi włosami zazwyczaj budziła duże zainteresowanie mężczyzn, jednak ani Brock, ani Philip nie zwracali na nią uwagi, co więcej, Shelley usłyszała, że wymienili między sobą kilka ostrych słów.

- Twoja siostra zachowuje się okropnie! - wybuchnął Philip, gdy zrównał się z Shelley. - Plecie same głupoty, wciąż wyprowadza mnie z równowagi.

- Tylko chce zwrócić na siebie uwagę. Poza tym jest moją siostrą i kocham ją.

- Ciekawe, za co? - rzucił agresywnie.

- Daj spokój, Phil. Pokłóciłeś się z Brockiem?

- Nie wiem, za kogo on się uważa. Lata go tu nie było, ale w odpowiedniej chwili się zjawił, żeby dziadek umieścić go w testamencie. Na dodatek poucza mnie, żebym przestał ci się narzucać. Przecież tego nie robię!

- Chyba jednak tak.

- Shelley... - Poraziły go jej słowa. - Shelley, naprawdę nie wiesz, jak bardzo mi na tobie zależy? Amanda ma rację. Po prostu zaproponuję ci małżeństwo.

Zabrzmiało to tak, jakby jej świętym obowiązkiem wobec rodziny i Philipa było pisać cicho i pokornie: tak.

- Philip, jeśli gustujesz w odmowach, to proszę bardzo, możesz mi się oświadczyć. - Była naprawdę zła, stąd ten sarkazm. - Łączy nas tylko przyjaźń, którą jednak teraz wystawiasz na ciężką próbę. Brock ma rację, narzucasz mi się, choć nigdy w żaden sposób nie dałam ci do zrozumienia, że coś do ciebie czuję.

- Dlaczego twoja rodzina uważa inaczej? Wszyscy mnie zaakceptowali. Dobrze wiesz, że natychmiast bym się z tobą ożenił.

Zabrzmiało to, jakby mówił: „Dziewczyno, przecież ofiaruję ci dużo więcej, niż mogłabyś marzyć! Kim są Kingsleyowie, a kim Loganowie? A jednak chcę dać ci swoje nazwisko”.

- Uważasz, że to dla mnie aż takie szczęście? - sprowadziła go na ziemię. - Nie mam ochoty na podobne eksperymenty, bo nasze małżeństwo natychmiast by się skończyło. Zrozum, Phil, nie kocham cię, i tylko to jest ważne. A co do mojej rodziny... nikt, nawet moi najbliżsi, nie będą decydować o moich uczuciach. Czy wyraziłam się jasno? - Uznawszy, że czas na niewielką osłodek, dodała: - Naprawdę cię lubię i nie chciałabym sprawiać d przykrości. Pozostanemy przyjaciółmi, a wszystko jakoś się ułoży.

- Przyjaciółmi? To mi nie wystarcza. Na pewno byś mnie pokochała, gdybyśmy spędzili z sobą więcej czasu.

- Nie umiesz po prostu przyjąć odmowy? - Była bliska wybuchu. Miała dość dyskusji z kimś, kto w głębi ducha traktował ją protekcyjnie i kompletnie lekceważył jej argumenty. Zauważyła przy tym, że Brock zawraca w ich kierunku.

- Nie! Dla mnie liczysz się tylko ty. Przemyśl to dobrze, a zrozumiesz, gdzie twoja prawdziwa przyszłość, gdzie twoje szczęście. Ze mną, tak, ze mną! - Jego oczy płonęły.

- Jednak jako moja żona będziesz musiała pozbyć się rodziny. Oczywiście pomożemy im finansowo, przecież Wybourne jest bliskie bankructwa... Nie odtrącaj mnie, Shel, bo skrzywdzisz swoich najbliższych. A także skrzywdzisz siebie, bo w głębi ducha mnie kochasz. Może jeszcze o tym nie wiesz, ale...

- Philip, koniec rozmowy! - Była bliska hysterii. Ten zmasowany atak przyprawiał ją o obrzydzenie, a zarazem czuła się jak przyciśnięta do ściany.

- Nie, jeszcze nie koniec. Kocham cię i powinniśmy być razem. Fatalnie, że akurat teraz zjawił się Brock i wszystko skomplikował. Ale nie uciekaj przed moją miłością.

Nagle uspokoiła się, już nie była zła. Wiedziała, że sama pokieruje swoim życiem, nie ulegnie żadnej presji czy to rodziny, czy Philipa, który najwyraźniej nie radził sobie z emocjami, przez co wygadywał bzdury, a nawet obrażał ją. Nie zamierzała mu jednak za to wystawiać rachunku, tylko powiedziała łagodnie:

- Phił, naprawdę z tej mąki nie będzie chleba. Tobie piana jedna droga, mnie inna. - Uśmiechnęła się. - Poza tym nie wiesz, jaka jestem, czego pragnę od życia. Tak naprawdę w ogóle mnie nie znasz.

- Mylisz się, znam cię doskonale. - Ścisnął jej dłoń. - Wystrzegaj się Brocka. Zawróci ci w głowie, a potem porzuci. Widzę, jak gapi się na ciebie.

Gdy Brock podszedł bliżej, Philip nagle schylił się po kamyki, żeby puszczać kaczki na wodzie. Po chwili zupełnie się oddalił i zaczął gawędzić z Amandą.

- Wszystko w porządku, Shelley?

- Philipa zżera ambicja. Nie wiem, czy ty tak na niego podziałałaś, czy też choroba dziadka i spodziewane zapisy w testamencie.

- Rozumiem. Uznał, że byłabyś dobrą żoną dla dziedzica Mulgaree. - Uśmiechnął się złośliwie.

- Proszę cię, nikomu tego nie powtarzaj, ale wszystko wskazuje na to, że dla nikogo nie będę dobrą żoną - rzuciła ze śmiechem.

Ujął ją za rękę i poprowadził do cienia rzucanego przez akacje.

- Shelley, większość kobiet uznałaby Philipa za świetną partię. A ty na co czekasz? Na wielką miłość?

- Tak, na to właśnie czekam.

- Namiętna miłość często źle się kończy. - Pocałował ją w szyję.

- Wiem. Długo zamierzasz mnie kusić?

- Aż do skutku. - Musnął wargami jej kark.

- Brock, proszę cię, przestań.

- Przecież nie masz nic przeciwko temu.

- Mam! - Taka była prawda, lecz zarazem drżały jej kolana, ciało ogarniało podniecenie.

- Jesteś cudowna. - Objął ją.

- Natomiast ty jesteś wcielonym diabłem! - Jego dotyk wprost parzył.

- Sama mnie prowokujesz. Nie powinnaś uśmiechać się do mnie w ten sposób, pachnieć kwiatami i mieć takiej delikatnej, jedwabistej skóry.

- Brock, oni wracają!

- Zajmie im to jeszcze chwilę. Chcę czuć bicie twojego serca.

- Przyznaj, że świetnie się bawisz.

- A ty nie? - Spojrzał jej w oczy. - W porządku. Jeśli boisz się, że Philip cię zobaczy...

- Brock, powiedz szczerze, czego tak naprawdę chcesz ode mnie?

- A jeśli powiem, że wszystkiego?

- Pocałowałaś mnie, gdy miałam szesnaście lat. Też cię to bawiło? Pewnie nawet nie pamiętasz.

- Może cię to zdziwi, ale pamiętam. Gapiłem się na ciebie przez cały wieczór. Miałaś zieloną sukienkę z przodu * ozdobioną cekinami.

Uśmiechnęła się.

- To była najpiękniejsza sukienka, jaką kiedykolwiek miałam. Czułam się wtedy jak księżniczka z cudownej bajki. Wszystkie dziewczyny za tobą szalały, a ty pocałowałaś właśnie mnie.

- Oddałbym wszystko za taki pocałunek. - Smętnie spojrział na Amandę i Philipa, którzy szli w ich stronę. - Czy zawsze tak jest?

-Jak?

- Że wszyscy wtrącają się w twoje życie, a zarazem wykorzystują cię?

- Daję sobie radę...

- Twoi rodzice wcale nie wyjechali dziś z domu, prawda? Opiekujesz się nimi, kryjesz przed ludźmi ich słabości, a oni odpłacają ci niechęcią...

- Brock, nie wolni ci tak mó...

- Owszem, wolno! Bo jak nie ja, to kto? Wszystko jest na twojej głowie, dzięki firmie turystycznej Wybourne jeszcze nie poszło pod młotek, bo jesteś mądra, operatywna, pracowita i lojalna wobec rodziny. To godne podziwu, tyle że sama tego wszystkiego nie udźwigniesz. Nikt ci nie pomaga, poza tym brak ci kapitału, bo wszystko, co zarobisz, idzie na bieżące wydatki...

- Jakoś sobie radzę.

- Jak długo jeszcze? Znam się na biznesie. Jeśli nie masz kapitału lub zdolności kredytowych... a Wybourne na pewno jest zadłużone i żaden bank nie udzieli ci pożyczki... to wcześniej czy później musisz się wyłożyć. Zabraknie ci kilku tysięcy dolarów, spóźnisz się z jakąś spłatą i lawina ruszy. Tak to działa, gdy zamiast rezerw ma się długi...

- Brock, mówiłam już, że jakoś sobie radzę.

- Wiem, Shelley, ale powtarzam: jak długo? Masz nie tylko farmę i turystów na głowie, ale również rodzinę, która wysysa z ciebie ostatnie soki. Zaharujesz się na śmierć, a twoi rodzice i nieszczęsna siostrzyczka nawet palcem nie kiwną. Z drugiej strony napiera na ciebie Phil. Pragnie, byś została jego żoną. Tylko że jeśli na to się zgodzisz, jedno piekło zamienisz na drugie. Mój kuzynek jest egoistycznym dupkiem, a jego matka wcie-

lonym potworem, intrygantką zdolną do najgorszych rzeczy, a przy tym snobką, dla której jakaś tam Loganówna jest nikim, zerem.

- Wiem... Prędeż by mnie zamordowała, niż dopuściła do małżeństwa z jej ukochanym synkiem. - Już nie próbowała grać twardej kobiety, która „jakoś sobie radzi”. - Philip, Frances, moja rodzina, to po prostu obłąd... - Chciała odsunąć się od niego, ale nie potrafiła zrobić kroku.

- Marzę, żebyśmy uciekli od tego wszystkiego i po prostu cieszyli się każdym dniem. Życie jest takie krótkie... - Zadumał się na chwilę. - Zarzuciłaś mi dziś, że pragnę zemsty. Masz rację. Po śmierci matki prawie oszalałem z nienawiści. Nienawidziłem dziadka, Frances, Philipa. Tak, pragnąłem okrutnej zemsty. Nie jestem tobą, Shelley, nie jestem święty.

- Brock, nie mów, że jestem święta, bo to nieprawda. Nie wybieram się na ołtarze.

Uśmiechnął się, lecz zaraz spoważniał.

- Muszę cię ostrzec. Philip jest słaby i niezdecydowany, bo tak go wychowała czy raczej wytresowała Frances, jednak jeśli chodzi o ciebie, za nic nie ustąpi. Jest przekonany, że w końcu wylądujesz w jego ramionach, to jego obsesja i matka tego nie przewalczy. Myślę, że będzie naciskał na twoją rodzinę. Siostra na pewno z radością pozbędzie się ciebie z domu, o ile bogato się wydasz i nadal będziesz finansować jej zachcianki.

- Daj spokój... Amanda chce tylko, żebym dobrze wyszła za mąż.

- Od kiedy tak troskliwie dba o twoje sprawy? - zadrwił. Shelley przetarła oczy dłonią.
- Brock, proszę, przestań już.
- Nigdy nie pozwolili ci zapomnieć.
- Bo to ja przeżyłam. Emocje przesłaniają im zdrowy rozsądek Natomiast tobie potrzebna jest kobieta, która będzie dla ciebie dobra. Tylko tyle... i aż tyle.
- Och, Shelley, mógłbym mieć prawie każdą kobietę.
- Nie wątpię. Dlatego nie wierzę, że czujesz do mnie coś wyjątkowego.

Delikatnie przesunął palcem po jej policzku.

- Przy tobie zupełnie się zmieniam, gdzieś znikają gorycz i złość. Jesteś nie tylko piękna, ale i niezwykle pociągająca. Amanda mogłaby tylko o tym pomarzyć. Chwile, które spędzam z tobą, są dla mnie najważniejsze... i takie dobre. Szkoda, że niedługo będziemy musieli wracać, ty do Wybourne, ja do Frances i dziadka.

- To wreszcie się skończy, Brock, i znów będziesz wolny. Pójdiesz, dokąd tylko zechcesz.

- Niosąc z sobą wspomnienia matki i ojca... - Zadu-
mał się na chwilę. - Matkę przynajmniej pochowa-
łem, zawsze mogę pomodlić się na jej grobie, a ojciec...
Wiesz, zatrudniłem detektywów, rzetelnie pracowali na swoją stawkę, ale jak kamień w wodę. Po prostu rozpułnął się we mgle. Uciekł od odpowiedzialności za najbliższych. Musiał zmienić nazwisko, może też wygląd. Często myślę, że pewnie ma nową rodzinę, żonę, dzieci...
Matkę też to dręczyło, upokarzało. Do śmierci go kocha-

ła. - Przez jego twarz przebiegł skurcz bólu. - Dziadek, Frances, Philip, ojciec... najbliższa rodzina, najbliżsi ludzie, a mogłem ich tylko nienawidzić. Gdyby nie matka, która niezmiennie obdarzała mnie miłością i potrzebowała mojej miłości, pozostałyby mi tylko wściekłość i nienawiść. Pragnienie zemsty. Zło,

- Rozumiem cię, Brock. Powiedziałeś, że jestem święta... Nic bardziej mylnego. To prawda, staram się dbać o rodzinę, ale coraz więcej we mnie złości, niechęci, buntu. Po śmierci Seana rodzice jakby umarli, w każdym razie dla mnie. Myślę, że niezależnie od bólu po śmierci syna, wciąż próbują mnie ukarać, że nie dopilnowałam Seana... że to on utonął, nie ja. Na Boga, próbowałam go ratować! Ale co może zrobić sześcioletnia dziewczynka... - Przymknęła oczy, starała się uspokoić.

Brock delikatnie pogłaskał ją po policzku.

- Już dobrze, kochanie. Wiem, jak to boli.

- Chwilami mi się zdaje, że tego nie wytrzymam. Ojciec ucieka w alkohol, matka odizolowała się od świata, a ja jestem dla nich jak trędowata. To trwa już piętnaście lat! Chore, niesprawiedliwe, okrutne... Owszem, to dobrze, że zarabiam pieniądze, dzięki czemu mają dach nad głową, ale tak naprawdę marzą tylko o tym, bym zniknęła im z oczu. Nigdy nie miałam nikogo, kto by mnie rozumiał i wspierał. Wiesz, zazdrozczę ci, że miałaś taką matkę. Sama głęboko nieszczęśliwa, a jednak umiała cię kochać, wierzyła w ciebie. Na pewno uważała, że tylko ty nadajesz się na następcę Rekxa Kingsleya.

- Jakbyś ją słyszała... Właśnie dlatego tu przyjechałem, żeby walczyć. Mulgaree to mój dom.

- Philip musi czuć się paskudnie. Wie, że nie jest takim wnukiem, jakiego chciałby Rex Kingsley.

- Wiesz, on wcale nie jest z gruntu zły, nie urodził się też takim głupcem, tylko matka go tak wytresowała, a on nie umiał pójść własną drogą, więc ma to, co ma. Pusto w głowie i obrzydliwy charakter. Najchętniej natychmiast pozbyłbym się Frances.

- Philipa też?

- To prawda, nie cierpię go, ale z drugiej strony trochę mi go żal. Żałosna ofiara własnej matki...

- Bywa irytujący, ale tak naprawdę potrzebuje zrozumienia i pomocy.

Brock uśmiechnął się.

- Wiem, wiem, Shelley Logan wszystkim współczuje i wszystkim chce pomagać. Dlatego tak cię lubię. Szkoda, że Philip nie zakochał się w twojej siostrze. Może wreszcie stałby się trochę weselszy.

Nagle dobiegły ich przeraźliwe krzyki.

- Co się dzieje? Taki upał, a Mandy biega jak szalona?
- zdziwiła się Shelley.

- Pewnie to jakaś zabawa. - Wzruszył ramionami

- Niemożliwe... A gdzie jest Philip? Brock, dzieje się coś złego!

- Tam, między drzewami! To kangurzyca. Goni ich. Pewnie ma młode w torbie!

- Do diabła! - Shelley bez zastanowienia popędzi-

ła na pomoc siostrze. Doskonale wiedziała, że kangurzyca z młodymi jest gotowa walczyć do upadłego, jeśli uzna, że coś zagraża jej potomstwu. Dlaczego jednak Amanda wrzeszczy jak opętana? Przecież dzikim zwierzętom nie można okazywać strachu. To jedna z pierwszych nauk, jaką się wpaja farmerskim dzieciom.

Brock natychmiast ruszył za Shelley. Tymczasem kangurzyca kontynuowała pościg za Amanda. Krzyki rozjuszyły ją jeszcze mocniej.

Shelley z bijącym sercem i rozwianymi włosami pierwsza dogoniła siostrę. Przewróciła ją na piasek, nakazała być cicho i leżeć nieruchomo. Niestety Amanda była zbyt przerażona, by jej posłuchać.

W następnej chwili Shelley poczuła, że coś ją przygniotło, zaraz potem Brock objął ją rękami, żeby była całkiem bezpieczna.

- Mandy, zamknij się! - nakazał ostro i napiął mięśnie.

Rozpędzona kangurzyca odbiła się od niego, po sekundzie znów zaatakowała, ryjąc go pazurami. Amanda wciąż wrzeszczała przeraźliwie, Shelley starała się ją uspokoić, szepcząc coś cicho.

Brock wiedział, że może zrobić tylko jedno: osłaniać siostry swoim ciałem. Tylko jak długo wytrzyma? Jeśli kangurzyca nie zaprzestanie ataków... Do diabła, gdzie się podział Philip? Gdyby włączył silnik samochodu lub nacisnął klakson, na pewno odstraszyłyby rozjuszone zwierzę.

Znów poczuł piekielny ból... i nagle kangurzyca odbiła się od niego i zniknęła za drzewami.

Brock powoli wstał. Bolało go prawe ramię i plecy. Pochylił się i pomógł wstać Shelley.

- Wszystko w porządku?
- Tak, dzięki tobie... Boże, Brock, ty krwawisz!
- Najważniejsze, że wam nic się nie stało.

Schylił się po Amandę, jednak sama zerwała się na równe nogi. Najpierw przekłęta szpetnie, potem zaatakowała Brocka:

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? Prawie mnie zmiażdżyłeś! Zobacz, obtarłam kolana. Przez tydzień nie będę mogła pokazać się w mieście!

- OK, Mandy, następnym razem nie będę ci przeszkadzał podczas randki z rozjuszonym kangurem. - Idiotka, stwierdził w duchu.

- Gdyby nie wy, nic by mi się nie stało! Dlaczego akurat mnie miałyby zaatakować ta kangurzyca? Przecież nic jej nie zrobiłam.

- Boże, Mandy, urodziłaś się wśród kangurów i pleciesz takie bzdury?! Nie wiesz o tym, że samice, gdy noszą młode, są bardzo agresywne?! - Spojrzał na nią z politowaniem. - Nie, nie musisz dziękować, że Shelley i ja ochroniliśmy twój tyłek. - To nie tylko idiotka, pomyślał. To kompletnie zapatrzona w siebie idiotka. Czyli idiotka do kwadratu.

- Brock, zdrowo oberwałeś. - Shelley uważnie lustrowała jego ramię i plecy. Przez podartą koszulę sączyła się krew. - Bardzo mi przykro, że tak się stało. Kangury bywają agresywne, ale ten był wyjątkowy. Musimy wrócić do domu, żeby cię opatrzyć. Bardzo boli?

-Trochę szczypie... Do diabła, gdzie zniknął Philip? Pewnie wlaźł na drzewo. Dziwisz się, że za nim nie przepadam?

Philip wprawdzie nie czmychnął na drzewo, za to schował swe cenne ciało pod załomem skalnym, skąd z przestrachem obserwował dramatyczną scenę. Teraz, uśmiechnięty i wyluzowany, wyłonił się z ukrycia i ruszył w ich stronę.

- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało! - zawołał do Shelley.

- Mnie też nie. Dziękuję za troskę - syknęła Amanda. - Wiesz, Philip, dziś pokazałeś się z nowej strony.

- Co miałem zrobić? Wszystko działało się tak szybko. Zresztą Brock był bliżej was.

- Nieprawda. - Trąciła go z pogardą. - Jesteś zwykłym tchórzem.

- Przyganiał kocioł garnkowi.

Shelley przestała zwracać na nich uwagę.

- Brock, dość tej gadaniny. Brałeś ostatnio zastrzyk przeciwczłowieczy?

- Nie przejmuj się, Shelley. - Uśmiechnął się. - Nic mi nie grozi. Pokłuto mnie jakieś siedem miesięcy temu, gdy pogryzł mnie pies.

Amanda ze zgrozą spojrzała na swoje kolana. Drobne obtarcia urosły w jej oczach do ran zagrażających życiu.

- Przyjeżdżam tu od lat i nigdy nie zdarzyło się coś takiego. Jak ja się teraz pokażę ludziom? Koniec z szortami i mini, tylko spodnie albo długa spódnica... Fatalnie.

Brock z trudem stłumił chichot, zaraz jednak spoważniał.

- Cholera, Mandy, swoim zachowaniem naraziłaś nas wszystkich. Następnym razem po prostu stój jak słup i nie wrzeszcz jak opętana.

Spojrzała na niego kokieteryjnie.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. - Odwróciła się do siostry. - Dzięki, Shel. Dla ciebie zrobiłabym to samo.

Philip spojrzał na nią gniewnie.

- Ciekawe, szczególnie gdy mówi to ktoś, kto dopuścił, by Shelley wzięła na siebie winę za...

- Philip, proszę, daj spokój! - przerwała mu Shelley. - Wszyscy się przestraszyliśmy.

- Phil, ty też się przestraszyłeś? - spytał Brock, powoli cedząc słowa.

- Wiedziałem, że dasz sobie radę. Znam cię. Przecież razem dorastaliśmy.

- Czyli nic się nie zmieniło...

W pokoju było chłodno i mroczno. Shelley włączyła światło.

- Pomogę ci zdjąć koszulę - powiedziała niepewnie. - Jest zupełnie zniszczona.

- Poradzę sobie. - Szybko rozebrał się do pasa. Wiedział, że nie zdoła się opanować, gdyby Shelley dotknęła jego gołej skóry.

Wyjęła z szafki wateę, plastry i środek odkażający.

- To powinno na razie wystarczyć. - Półnagi, cudownie zbudowany, silny, opalony... Z trudem opanowała chęć, by przytulić się do niego.

Brock przeżył rany na ramieniu. Zapadła pełna napięcia cisza, którą wreszcie przerwała Shelley:

- Nie powinno się tego zszyć?

- Miewałem poważniejsze rany. Na mnie wszystko szybko się goi.

- Z plecami nie dasz sobie rady.

- Zajmiesz się tym?

- Dobrze.

Wzięła się w garść i delikatnymi ruchami zaczęła przemywać długie rozcięcia. Czuła narastające pożądanie. Chciała zarzucić Brockowi ręce na szyję, dotknąć ustami jego skóry. Gdy skończyła, odwrócił się i chwycił jej przegub.

- Chodź do mnie, Shelley.

Przeszedł ją dreszcz. Panna Logan, niewinna dziewczyna z buszu, jeszcze nigdy nie czuła takiego napięcia.

- Shelley, naprawdę potrafię cię pokochać. - Objął ją.

- Zakochać się w tobie, to zbyt niebezpieczne i skomplikowane. Brock, to dzieje się zbyt szybko.

- Taką już mam naturę. Ty też. - Powoli, delikatnie pocałował Shelley... i ujrzał w jej oczach łzy. - Shel, co się stało?

- Nie masz innych zmartwień? - rzuciła zaczepnie.

- Zapominam o nich przy tobie - powiedział z czułością. .. i nagle zrozumiał, co ją dręczy. - Zrozum, ja nie gram, nie planuję naszych pocałunków, to nie są jakieś wyrachowane podchody, sprytnie uwodzenie. Po prostu tego pragnę. Za nic nie chciałbym sprawić ci przykrości, a wydaje mi się, że ty właśnie tak odbierasz moje zachowanie.

- Mówiłeś, że sam nie wiesz, jak dalej ułożyć sobie życie.

Uniósł jej twarz, by spojrzeć w oczy.

- Jeśli uważasz, że tak będzie ci łatwiej, nie będę się narzucał. Jednak nie pozwolę, żebyś wyszła za Philipa.

- Jak możesz mi zabronić?

- Och, bez trudu... - Uśmiechnął się lekko. - Zайдziesz ze mną w ciążę i wtedy co, uciekniesz od ojca swojego dziecka?

- Brock, nie rozmawiaj ze mną jak dzikus.

- Słusznie, ale wszystko może się zdarzyć. Skąd wiesz, że nie mówię poważnie? - Objął ją w pasie. Była tak szczupła, że niemal mieściła się w jego potężnych dłoniach. - Może po prostu zależy mi na tobie?

, - Paskudny podrywacz. Jak to się stało, że nigdy się nie zakochałeś?

- Bronilem się przed tym. - Musnął ustami jej szyję. - Bałem się, że ulokuję uczucia w nieodpowiedniej osobie. Taki błąd może zniszczyć życie. Jednak w głębi serca jestem dżentelmenem, nie skrzywdziłem żadnej dziewczyny. Nie złamię ci życia i nie musisz się mnie obawiać.

- To niby ja się ciebie boję?

Delikatnie ujął jej brodę.

- Chwilami masz to wypisane na twarzy.

- Co jeszcze wyczytałeś?

- Jesteś marzycielką. Interesujesz się mną nie mniej niż ja tobą, a zarazem usiłujesz uciec przede mną. Chcę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze. Philip to zły wybór, nawet jeśli rodzina uważa inaczej i próbuje cię moralnie szantażować.

- Od czasu, gdy rodzice stracili Seana...

- A ty go nie straciłaś?

- Wraz z nim odeszła częśćka mnie samej.

- Bo byliście bliźniakami. Jesteś w nim, gdzieś tam, a on w tobie, tu, na ziemi.

- Wciąż przybywa mi lat, a Sean nadal jest małym dzieckiem. Codziennie o nim myślę. Choć wciąż mnie o to obwiniają, w głębi ducha jestem pewna, że nie przyczyniłam się do jego śmierci. Niestety niczego nie pamiętam.

- Byłaś za mała, żeby wyrządzić komuś krzywdę. Co wtedy robiła Amanda?

- Nie wiem. Pamiętam tylko ten straszny krzyk... Od tamtego czasu ojciec mnie nienawidzi... - Nagle zamilkła, zmarszczyła czoło w głębokim namyśle. - Mój Boże... Brock, a może on nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy?

Doskonale to rozumiał. Dziadek zawsze uciekał od niego wzrokiem, jakby prześladowało go wspomnienie tych wszystkich krzywd wyrządzonych wnukowi, w tym pozabawienie go ojca, który uciekł z Mułgaree, nie mogąc znieść despotycznego teścia.

- Shelley, czy to nie dziwne? Nienawidzi cię, a jednocześnie pozwala, byś była głową domu, utrzymywała rodzinę...

- Nie, to nie tak, on nadal wszystkim rządzi, oczywiście poza moją firmą. To prawda, pieniądze, które zarabiam, ratują nas przed poważnymi kłopotami, ale farmą nadal zajmuje się tata. Niestety robi to byle jak, bo nic mu się nie chce, może nawet żyć, dlatego Wybourne bardzo podupadło. Hodowla przynosi niewielkie dochody, a rok temu było całkiem źle i ojciec musiał zaciągnąć kredyt, by pokryć

straty. Gdyby nie ja, nie bylibyśmy w stanie spłacać banku.

- Przerwała na chwilę i dodała cicho: - Inaczej by to wyglądało, gdyby spadkobiercą był Sean... Już wcześniej się domyśliłeś, że mamy bardzo poważne kłopoty. Jest jeszcze gorzej, niż się wydaje ludziom. Ojciec gospodarzy byle jak i gdy znowu zakończy rok na dużym minusie, trzeba będzie sprzedać Wybourne. Żaden bank nie da nam nowego kredytu, a moja firma ma ograniczone możliwości.

- Z tego wniosek, że Philip, jako przyszły spadkobierca Reksa Kingsleya, byłby bardzo pożądanym zięciem?

- Zapewniłby rodzinie przyszłość. - Zarumieniła się. Palił ją wstyd. Jeszcze niedawno stanowczo odtrąciła Phi-jip'a, mówiąc sobie, że sama pokieruje swoim losem, lecz teraz obawiała się, że to tylko głupie mrzonki.

- Shelley, przecież nie, możesz dać się wykorzystać do tego stopnia.

- Spojrzałbyś na to inaczej, gdybyś widział, jak żyją moi rodzice. Ojciec od lat pije, matka siedzi w pokoju, zerwała z całym światem... Nie potrafię ich zostawić własnemu losowi.

- Może wyszłoby im to na dobre. Może się otrząsną, gdy zabraknie niekochanej córki, która kosztem własnej przyszłości poświęca się im bez reszty. Przecież masz jedno życie! Drugiego nie będzie. Czy oni tego nie rozumieją? Co za potworny egoizm!

- Nie mogę ich zostawić na pastwę losu.

- Wspieraj ich, ale nie kosztem własnej przyszłości.

Zamyśliła się na dłuższą chwilę.

- Wiesz, Brock, gdy tak mówisz, wszystko brzmi logicznie. Więcej, masz całkowitą rację. Tylko że...

- Co, Shelley?

- Akurat ty na pewno mnie zrozumiesz, bo i ty, i ja nie żyliśmy jak inni ludzie. Od dzieciństwa byliśmy napiętnowani bólem, tragedią, narastającym gniewem i frustracją. Jesteśmy strasznie poplątani, wewnętrznie sprzeczni. Tak jak nasze życie. Dlatego wybory, których dokonujemy, nigdy nie są ani łatwe, ani proste, ani do końca logiczne...

- Aż tak jesteśmy podobni? - Nie oczekiwał odpowiedzi.

Znalazła dla niego bawełnianą koszulkę ojca, natomiast Amanda przebrała się w purpurową, luźną bluzkę oraz idealnie dopasowane dżinsy ozdobione kwiecistym wzorem. Szykowna siostrzyczka miała nadzieję, że goście zostaną na podwieczorek. Philip natychmiast się domyślił, że znów swymi wdziękami chciała zaatakować Brocka. Było mu to na rękę, nie zapomniał jednak, że pilnuje spadku.

- Niestety musimy już wracać do Mulgaree - powiedział.
- Nie możemy zostawiać dziadka na długo.

Twojej matki też, pomyślał Brock. Gdyby wuj Aaron nie zginął, Frances już byłaby faktyczną właścicielką Kingsley Holdings, o czym marzyła od lat.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Frances od dzieciństwa marzyła o bogactwie. Jej rodzice, ciężko harujący biedacy, pracując na dwa etaty, opłacili córce studia, bo tam właśnie dojrzała swoją szansę na zrobienie kariery... czyli znalezienie odpowiedniego męża. Była ładna, umiała się ubrać, i gdy tylko przyjęto ją do collegeu, zaczęła polować na dziedzica rodowej fortuny. Młodzi bogacze szybko odgadywali jej zamiary, jednak wychowany w buszu syn jmultimilionera, Aaron Kingsley, okazał się łatwym łupem.

Zakochany po uszy, jedyny raz sprzeciwił się ojcu i sam wybrał żonę. Nie minęło sześć miesięcy, gdy zdał sobie sprawę, jak wielki popełnił błąd. Małżeństwo stało się farsą. Bystra, urocza i namiętna narzeczoną przemieniła się w zimną, cyniczną egoistkę, gardzącą naiwnym mężem, zapatrzoną w przyszlą schedę po teściu. Mówiono, że Aaron, ulegając żądzy, zmarnował swe życie. Po cichu nawet szep-tano, że sam się wystawił pod rogi pędzącego byka.

Jednak nim do tego doszło, Frances szczęśliwie zaszła w ciążę, co zapewniło jej odpowiednią pozycję w rodzinę. Rezydowała w Mulgaree, ustępując miejsca jedynie de-sptycznemu teściowi, a także, już jako nieutulona w żalu

wdowa, nawiązała romans z wpływowym prawnikiem Geraldem Maitlandem.

Teraz witała go na lądowisku.

- Gerald, kochanie, co u ciebie słyszać?

Nikt nie nazwałby Maitlanda przystojnym. Nalana twarz, rzadkie włosy, wywinięte wargi, wystająca szczęka i spora nadwaga nie dodawały mu urody, jednak jako współwłaściciel dużej firmy prawniczej budził duży respekt. Jego klientelę stanowili ludzie bogaci i wpływowi, w tym Kingsleyowie.

- Frances, cieszę się, że znów cię widzę. - Pocałował ją w policzek - Brakowało mi ciebie. Jak tam Rex?

- Bardzo cierpi To już niedługo potrwa...

- Przykro mi to słyszeć. Cóż, wiele można kupić za pieniądze, ale życia się nie przedłuży - stwierdził filozoficznie.

- Geraldzie... - Frances ujęła go za rękę. - Boję się, że Rex chce zmienić testament.

- Zmienić? Pewnie tylko skorygować.

- Nie. Podejrzewam, że chce zapisać Mulgaree Brockowi.

- Och, to niemożliwe. Philip mieszka w Mulgaree całe życie, zawsze był lojalny wobec dziadka. Poza tym jest starszym wnukiem, do tego synem Aarona, czyli reprezentuje męską Unię rodziny.

- Rex na łożu śmierci inaczej na to patrzy. - Ruszyli do samochodu. - Jestem pewna, że chce sporządzić nowy testament, dlatego ściągnął cię tutaj.

- Frances, nic takiego nie może się zdarzyć. - Znał jednak Rekxa od lat i wiedział, jak bardzo pogmatwane jest

jego sumienie. Wygnanie córki i wnuka nigdy nie dawało mu spokoju. Poza tym Brock, w przeciwieństwie do Philipa, gwarantował, że Kingsley Holdings nadal będzie jedną z największych firm w Australii.

- Gerald, pomóż mi... Dałeś mi szczęście, pokazałeś, czym jest prawdziwa miłość. Wiesz, jak bardzo cię Kocham... - Zaszlochała. - Nie pozwól, by mój syn został skrzywdzony.

Maitland spodziewał się, że spotka się z Reksem Kingsleyem zaraz po przyjeździe, jednak umierający nie czuł się na siłach, by rozmawiać. Gerald i Frances zasiedli więc do lunchu, a później poszli nad basen i w przebieralni niespiesznie zajęli się seksem.

Późnym popołudniem w sypialni Rekxa Kingsleya zjawił się Gerald Maitland. Starzec, po którym widać już było znamiona śmierci, despotycznym tonem zażądał, by adwokat wreszcie wziął się do roboty.

- Rex, co mam dla ciebie zrobić? - Maitland przygotował papier i pióro.

- Chcę zmienić testament. Do diabła, po co innego bym cię wzywał? Żebyś miał następną randkę z Frances?

- Rex...

- Do diabła, uważasz mnie za durnia? Wszystko wiem, wszystko widzę... Ale to już nieważne. Zaczynaj wreszcie! Tak, Catherine, trzeba wszystko wyprostować. Masz rację, córeczko.

Gerald odruchowo odwrócił się, jakby naprawdę spodziewał się zobaczyć ducha pięknej córki Kingsleya.

- Świadkiem będzie Eula, a nie ta cholerna pielęgniarzka - mówił dalej Kingsley. - Jest dobrą służącą. Oczywiście nie-nawidzi mnie, a kocha Catherine i Brocka, ale jej nie zwol-niłem. Rusz się wreszcie, człowieku. Przecież umieram.

Kingsley czuł się fatalnie. Godząc się na romans z Fran-ces, naraził się na jej szantaż. Wiedział, że ta kobieta jest do tego zdolna. Prawnik, który wdaje się w intymny związek z jedną ze stron, wystawia sobie jak najgorsze świadectwo i Frances mogła to wykorzystać, grożąc ujawnieniem ich związku, jeśli nie będzie jej powolny. Po co mu to było? No tak, po śmierci żony czuł się samotny, ale ma przecież cu-downe dzieci i wnuki...

Chwycił pióro.

- Dyktuj, Rex.

Eula Martin nie zwykła nikomu opowiadać o tym, co dzieje się w Mulgaree, jednak potrafiła patrzeć i słuchać. Dlaczego pani Kingsley i ten prawnik zachowują się jak spiskowcy? Coś szeptają między sobą, naradzają się. Na pewno chodzi o pieniądze. No tak, Philip i Brock...

A przecież pani Kingsley i ten prawnik romansują z so-bą od jakiegoś czasu. Robią to potajemnie, ale przed Eulą nic się nie ukryje. Na przykład teraz w końcu holu rozmawiają cicho, jakby bali się, że ktoś ich podsłucha. Pani Kingsley jest zrozpaczona, a adwokat ją pociesza. Czyżby starego wreszcie ruszyło sumienie i postanowił zmienić te-

stament? Eula niemal podskoczyła z radości. Zarazem była zaskoczona. Wiedziała, że Gerald Maitland przed oficjalnym odczytaniem testamentu nie miał prawa nikogo informować o jego treści, a jednak najpewniej właśnie to uczynił. Zdradził tajemnicę swojej kochance.

Po chwili adwokat poprosił Eulę, by znalazła dużą kopertę i schowała w niej testament. Służąca skrzętnie wykonała to polecenie... a także pod wpływem impulsu zrobiła coś jeszcze.

Frances była załamana. Widziała tylko jedno wyjście z sytuacji, wprowadzie bardzo ryzykowne, ale przecież gra sfla o wszystko.

Brock, który zjawił się na kolacji, był wyluzowany i uśmiechnięty, jakby wiedział, że wkrótce będzie tu panem.

- Jak minął dzień? - zagadnął.

Frances dopiero teraz go zauważyła.

- Zawsze tak się wślizgujesz jak podstępna żmija? - syknęła z furją. - Nie było cię tu pięć lat, ale wiedziałeś, kiedy się zjawić.

- Frances, po co te złośliwości? - Gerald rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Nawet aluzyjnie nie powinna się zdradzać, że zna treść testajmentu. - Dajcie spokój niesnaskom, przecież biedny Rex kona za ścianą.

- Pewnie obawia się spotkania ze Stwórcą - mruknął Brock.

Frances wprost gotowała się w sobie. Wiedziała od kochanka, że Rex Kingsley kompletnie pominął ją i Philipa,

natomiast jedynym spadkobiercą miał zostać Brock. Nie mogła do tego dopuścić. Musiała dogadać się z Geraldem. Gdy tylko stary skona, powie mu, że...

Był ranek, dochodziła szósta, gdy Shelley, samotnie jeżdząc w kuchni śniadanie, odebrała telefon.

- Shelley, tu Philip. Dziadek nie żyje.

- Och, bardzo mi przykro.

- Dziękuję... Mam do ciebie wielką prośbę. W takich chwilach człowiek potrzebuje wsparcia, przyjacielskiej pomocy. Mogłabyś przyjechać do Mulgaree? Zabiorę cię helikopterem.

Najpierw pomyślała, że nie wypada, by obca osoba nawiedzała żałobny dom. Potem, że nie ma na to najmniejszej ochoty.

- Philip, a co na to inni? Nie chcę przeszkadzać w takiej chwili. Dla twojej matki będzie to niepożądana wizyta.

- Kogo obchodzi, co ona myśli? - rzucił ze złością. - Ona i tak widzi tylko siebie. Shel, tu jest okropnie, wszyscy są strasznie naładowani, burza wisi w powietrzu. Brock zachowuje się tak, jakby już wszystko odziedziczył. Wiesz, jaki byłby to dla mnie cios? Potrzebuję twojego wsparcia. Dla ciebie zrobiłbym to samo.

Po tym ostatnim argumencie nie miała innego wyjścia, musiała się zgodzić. Miała przy tym nadzieję, że Brock nie uzna tego za zdradę.

Zanim wysoka, atletyczna postać energicznie wyskoczy-

ła na trawnik, wiedziała, że to Brock. Gdy podszedł bliżej, zauważyła, że wprost buchał złością.

- Co stało się z Philipem?

- Nie chcesz lecieć ze mną? - odparł zaczepnie.

- To nie był mój pomysł. Nalegał, mówił, że potrzebuje przyjacielskiego wsparcia.

- Jestem wzruszony.

- Uważam, że miał rację, gdy mówił, że nikomu na nim nie zależy.

- Dla mnie nigdy nie kiwnął palcem, ale od ciebie domaga się samych serdeczności.

- Do diabła, dajcie mi wszyscy spokój! - wybuchnęła. - Jeden płacze w słuchawkę, a drugi popisuje się złośliwościami. Skoro tak ci to wadzi, to nigdzie nie leczę!

- Przecież nie możemy zasmucić biednego Philipa - powiedział, przedrzeźniając jej głos. - A mną się nie przejmuj, bo niby kim ja jestem, żeby czegokolwiek ci zabraniać?

- Brock, dlaczego zachowujesz się tak paskudnie? - Spojrzała mu w oczy.

- Nie jestem miłym chłopcem.

- To prawda... Ale już się nie kłóćmy. To wasze rodzinne sprawy, ale zrobię, jak zechcesz. Philip ma mamę, którą może trzymać za rękę.

- Tyle że teraz to on ją pociesza, bo Frances kompletnie się załamała.

- Może nie jest taka zła? Skoro tak cierpi po śmierci teścia...

- Nie rozśmieszaj mnie. - Pocałował ją w usta. - Jest tam jej kochanek, dla niego gra te komedię. Pracuje nad wizerunkiem uczuciowej kobiety.

- Kochanek? A kto nim jest?

- Naprawdę nie wiesz? Philip ci nie powiedział? To adwokat Gerald Maitland.

- Niemożliwe! Adwokat Reksa Kingsleya? - spytała z niepokojem.

Brock roześmiał się.

- Jesteś niewinna i naiwna.

- Daruj sobie... Czuję kłopoty.

- To jest nas dwoje - mruknął ponuro.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po przylocie na miejsce Shelley stwierdziła, że Philip miał rację: w Mulgaree panowała trudna do zniesienia atmosfera. Nawet Frances, tak zazwyczaj chłodna i opanowana, była kompletnie rozbita. Najdziwniejsze jednak, że Gerald Maitland, przecież osoba spoza rodziny, wykonująca jedynie obowiązki służbowe, zachowywał się tak, jakby śmierć Reksa Kingsleya zrujnowała mu życie.

Gdy nadszedł czas oficjalnego odczytania testamentu, Shelley doznała jeszcze większego zaskoczenia, poproszono ją bowiem, by uczestniczyła w tym prawnym akcie. Siedziała między Brockiem i Philipem, marząc, by być stąd jak najdalej. Co dziwne, Frances nie zaprotestowała przeciw jej obecności. Widocznie tak zażyczył sobie jej syn, przypuszczalnie główny spadkobierca.

Gerald Maitland z namaszczeniem zasiadł za masywnym biurkiem i splótł dłonie. Zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w niego z napięciem, jednak wiadomość, którą przekazał, uderzyła jak grom z jasnego nieba. Nie było nowego testamentu.

Rex Kingsley odszedł, zanim zdążył podpisać ostateczną wersję dokumentu. Treść spisano w niesprzyjających oko-

licznościach, jeśli wziąć pod uwagę jego stan zdrowia i wątpliwą poczytalność, zaburzoną działaniem silnych leków.

Maitland, by oszczędzić rodzinie kłopotliwej pod względem prawnym sytuacji, zniszczył ręcznie spisana ostatnią wolę Reksa Kingsleya, której jego klient nie zdążył podpisać, dlatego w mocy pozostaje poprzedni testament, prawidłowo podpisany i potwierdzony notarialnie.

Z daty wynikało, że sporządzony on został w miesiąc po wielkiej awanturze, jaką Rex urządził Catherine i Brockowi, w konsekwencji czego opuścili Mulgaree.

- Gerald, ten numer nie przejdzie - powiedział chłodno Brock. - Nie zrzucaj niczego na stan umysłu dziadka. Gdy był bliski śmierci, odmówił przyjmowania leków. Pielęgniarka to potwierdzi.

- Słuchaj, Brock - warknął Philip - mamy testament. Nie chcesz wiedzieć, co zawiera? Na pewno dziadek nie puścił cię z torbami, a ja nie jestem takim bydlakiem, by zostawić cię bez grosza. Jesteś wnukiem, tak samo jak ja.

- Nie jestem taki jak ty... Ale mniejsza z tym, bo mamy do rozważenia bardzo poważny problem. Otóż stanowczo podważam postępowanie Maitlanda zarówno pod względem prawnym, jak i etycznym.

Adwokat nadał policzki z oburzenia.

- Nikt nigdy nie kwestionował mojej uczciwości. Służę pomocą moim klientom najlepiej, jak potrafię. Moja firma cieszy się wielkim poważaniem.

- Daruj sobie te frazesy. Mam do ciebie konkretne pytanie i takiej odpowiedzi oczekuję. Na jakiej prawnej

podstawie zniszczyłeś testament swojego klienta Reksa Kingsleya?

Maitland rzucił mu mordercze spojrzenie.

- Postanowiłem tak w interesie rodziny. Obstaję przy swojej decyzji. Jestem przekonany, że każdy prawnik postąpiłby w ten sposób. Zresztą i tak już jest za późno.

- Gerałd, dlaczego nie zaczniesz czytać testamentu? - niecierpliwie rzuciła Frances.

Roztrzęsiona Shelley ujęła Brocka za rękę i powiedziała miękko:

- Proszę, wysłuchaj go. Teraz nic nie zdasz. Później podejmiesz decyzję.

* - Masz rację - rzucił zimno. - Ale decyzję już podjąłem.

Głównym spadkobiercą został Philip Goddard Kingsley. Odziedziczył ogromny majątek. Samo Mulgaree zostało wycenione na dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów, do tego dochodziły liczne farmy i spółki tworzące Kingsley Holdings. Były również zapisy na rzecz instytucji, krewnych oraz długoletnich pracowników.

Frances cierpliwie czekała na fragment dotyczący jej osoby. To, co usłyszała, było dla niej szokiem. Otrzymała zaledwie ułamek tego, czego się spodziewała, choć i tak było to kilka milionów. Została więc zabezpieczona na całe życie, mogła też Uczyć na pomoc syna, jednego z najbogatszych ludzi w Australii.

Brock nie otrzymał nic.

- Nie przyjmuję z tego do wiadomości - powiedział dobitnie. - Dziadek zaprosił mnie tu, żeby coś mi powiedzieć.

Chciał odpokutować za swoje życie. Zostawił mi Mulgaree i powierzył prowadzenie firmy, jak również scedował na mnie decyzję, czy Philip i Frances dostaną cokolwiek Gerald, czy tak wyglądał zniszczony testament?

- Brock, podałem powody, dla których zniszczyłem dokument. Zdawałem sobie sprawę, że wszelkie spekulacje spowodują tylko cierpienie i konflikty. Daję moje słowo, że zawartość drugiego testamentu nie była zgodna z twoimi nadziejami.

- Dajesz słowo? A niby dlaczego miałbym ci wierzyć?
- spytał z pogardą Brock.

- Jestem poważanym prawnikiem.

- Może byłeś... ale już nie jesteś. Obalę ten testament, a ciebie zniszczę, mecenasie. Po pierwsze samowolnie zniszczyłeś dokument, co samo w sobie jest przestępstwem. Po drugie, niszcząc ważny testament, faktycznie doprowadziłeś do jego unieważnienia, a są to kompetencje sądu, nie zaś rodzinnego prawnika. Po trzecie twoje postępowanie wynika nie z bezinteresownej oceny sytuacji, ale ma przynieść wymierne korzyści osobie, z którą masz romans, a także jej synowi. Na pewno stracisz uprawnienia do wykonywania zawodu, mam też nadzieję, że wylądujesz za kratkami.

Maidand zbladł. Frances zapewniała go, że nikt nie wie o tym, co ich łączy. Cóż, myliła się, a on doskonale zdawał sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo się naraził.

Philip dziwnie spojrział na matkę.

- Romans? Jaki romans?

Shelley zrozumiała, że Philip nie wiedział o tej sprawie. Spojrzała z wyrzutem na Brocka.

- Musiałeś o tym mówić?

- O brudnych tajemnicach? Och, jak biedny Philip to przeżyje... - Uśmiechnął się cynicznie. - Geraldzie, to byłoby żałosne, ty jesteś żałosny. Dziadek poinformował mnie o swoich zamiarach i tego tak nie zostawię.

Maitland wreszcie odzyskał pewność siebie.

- Puste słowa, to tylko puste słowa. Tak naprawdę nic na mnie nie masz.

- Brock mówił mi o rozmowie z dziadkiem. Pan Kingsley obiecał mu Mulgaree - niespodziewanie wtrąciła Shelley.

- Na litość boską, Shelley, po czyjej jesteś stronie? - wybuchnął Philip, chwytając ją za rękę.

- Zabierz od niej swoje łapy - syknął Brock.

- Czy ktoś może mi powiedzieć, co Shelley Logan ma z tym wspólnego? - odezwała się Frances. - To sprawy rodzinne. Ona nie należy do rodziny i nigdy nie będzie.

Brock roześmiał się.

- Masz rację, Frances. Shel nie wejdzie do tej rodziny choćby z twojego powodu. Uważam, że wszystko, co zostało tu powiedziane, jest kłamstwem.

- No i co zrobisz? - spytała z nienawiścią Frances. - Wezwiesz policję? Kazesz zakuć nas w kajdany? Tu nikt nie kłamie i nie spiskuje...

- Zdaje się, że nie wspominałem o spisku - przerwał jej Brock. - Jednak wezmę to pod uwagę.

- To, mój chłopcze, jest poważna obraza - powiedział

Maitland przez zaciśnięte usta. - Powinieneś przeprosić ciotkę.

- To, mój mecenasie, zwyczajne łajdactwo. Dziadek na pewno podpisał nową wersję testamentu, w której występowałem jako główny spadkobierca, ale dla swojej kochanki zniszczyłeś dokument, nim ktokolwiek go zobaczył. Twierdzisz, że chciałeś oszczędzić rodzinie zmartwień... Boże, co za obłuda! Bo ja też jestem z tej rodziny, zapomniałeś? Uważam, że doszło do zмовy, żeby przejąć majątek. Cóż, jest jeszcze Eula. Mówiła mi, że została wezwana jako świadek ostatniej woli mojego dziadka.

- Ona nie ma pojęcia o zawartości dokumentu. Miała tylko go podpisać! - Maitland zupełnie stracił panowanie nad sobą.

- Przecież to niezgodne z prawem, żeby świadek potwierdzał czyjś podpis, jeśli ten podpis nie istnieje. A więc mam rację, istniał... Cóż, drogi mecenasie i nie mniej droga cioteczko, to już nie moja sprawa, tylko policji i prokuratora.

Helikopter uniósł się nad ziemię, jednak nie skierował się w stronę Wybourne, jak spodziewała się Shelley. Polecieli nad pustynię. Shelley zdawała sobie sprawę, jak bardzo Brock był roztrzęsiony, więc nie zaprotestowała. Milczała, dopóki nie wylądowali w miejscu, gdzie krajobraz był bardziej urozmaicony. Hałas silnika wypłoszył zza krzewów stado emu.

- Za chwilę zawiozę cię do domu - powiedział Brock.
- Teraz muszę dojść do siebie.

- Nigdzie się nie spieszę.

- Czyżby dziadek zamierzał znęcać się nade mną aż do śmierci? Może jednak nie podpisał testamentu? Może to była taka perfidna inscenizacja, żebym nabrał złudnych nadziei?

- To byłoby zbyt okrutne. Przecież błagał cię, żebyś tu wrócił.

- Nie znałaś go. Sadystycznie pragnął mnie zniszczyć.

- To prawda, nie znałam go, ale intuicyjnie czuję, że się mylisz. Sam mówiłeś, że zależało mu na utrzymaniu Mulgaree i holdingu, a Philip i Frances do tego się nie nadają. Albo zbankrutują, albo rozprzedadzą całe dziedzictwo.

- To jedyne możliwe scenariusze. Nieszczęsny Phil właśnie zaczyna rozumieć, jaka odpowiedzialność na niego spadła. Na razie jednak najważniejsze jest dla niego co innego. Ty, Shelley. Frances będzie musiała ustąpić, bo inaczej straci syna.

- Może i przekona matkę, problem jednak w tym, że za nic za niego nie wyjdę. Chyba już to ustaliliśmy?

- Mimo takiego majątku?

- Brock, przestań!

- Przepraszam. Podziwiam twoje twarde zasady. Jesteś bardzo honorowa. Naprawdę mam ogromne szczęście, że cię poznałem.

- Daj spokój...

- Czy oni naprawdę myślą, że im odpuszczę?

- Czy według ciebie Maitland posunąłby się do popełnienia przestępstwa?

- Tak, gdyby miał Ha oku poważne korzyści, czyli ślub z Frances.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłby to zrobić.

- Oboje są siebie warci.

- Musisz zachować spokój, wszystko dokładnie przemyśleć i zaplanować.

- Pustynia jest do tego najlepsza. - Mocno ujął jej dłoń.

- Jako chłopiec kochałem tę okolicę i nienawidziłem domu. W Mulgaree panowały średniowieczne stosunki i intrygi. Uciekałem tu i myślałem o ojcu. Zastanawiałem się, gdzie może być i dlaczego zniknął. Był takim dobrym ojcem, kochałem go i czułem jego miłość. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nas zostawił. Jakie jego cechy odziedziczyłem? Czy też mógłbym porzucić najbliższych?

- Ty? Nigdy!

- Skąd ta pewność? - Uśmiechnął się smutno. - Przecież mówiłaś, że siedzi we mnie diabeł.

- Och, bywasz diabełem, nie przeczę, ale tak naprawdę jesteś dobrym człowiekiem, czasem nawet cudownym.

- Może staję się inny, gdy wkraczasz w moje życie.

- Mam już miejsce w twoim życiu? - Spojrzała mu w oczy.

- Na dobre i złe.

- W takim razie mam nadzieję, że to złe nigdy się nie zdarzy.

Ruszyli wolno przed siebie. O tej porze wzgórza w oddali wydawały się czerwone na tle bezchmurnego, błękitnego nieba.

- Brock, dokąd idziemy? - spytała w niemal absolutnej ciszy. Przerywały ją tylko odgłosy ptaków krzających się wśród nielicznych krzewów.

- Dokąd chciałybyś pójść?

„Dokądkolwiek, byle z tobą” - miała już na końcu języka, ale zdołała się powstrzymać.

- Może do tych wzgórz?

Zatrzymał się, nie wypuszczając jej dłoni.

- Pytam poważnie: gdybyś mogła wybierać, gdzie chciałybyś być?

- Zabrałybyś mnie w takie wymarzone miejsce? W takim razie ocean. Nigdy nie byłam nad oceanem. Jest więcej takich miejsc, gdzie nie byłam, i rzeczy, których nie zrobiłam.

- Łatwo można to nadrobić, Shel.

- Wszystko rozbija się o brak pieniędzy - stwierdziła smutno.

- Właśnie za pieniądze rodzina chce cię sprzedać Philipowi. Jak tylko się dowiedzą, że odziedziczył Mulgaree, zaczną skakać z radości.

- Brock, nie daje mi spokoju sprawa testamentu.

- Maitland, który cieszy się poważaniem jako prawnik, okazał się zwyczajnym oszustem.

- Czegoś tu nie rozumiem. Ma pozycję, na pewno zgromadził duży majątek, i nagle ryzykuje, że wszystko straci?

- Prawnicy wiedzą najlepiej, jak łamać prawo - ponuro rzucił Brock. - Ale masz rację, zniszczenie dokumentu to prostacka zagrywka. Musiała go do tego namówić Frances. Wiem jednak, że sprawa nie będzie łatwa. Gerard na pew-

no już myśli, jak zabezpieczyć się od strony prawnej. Obawiam się, że sprawa będzie ciągnąć się latami.

Gdy zbliżyli się do wzgórz, zobaczyli stadko małych kangurów wallaby, nieco dalej wśród krzewów buszowały kangury czerwone. Na widok ludzi stado żółto upierzonych strusi emu pospiesznie zaczęło się oddalać.

- Nie zapuszczajmy się za daleko - powiedział Brock, rozglądając się wokół. - Tu mogą być węże. Nie jest ci za gorąco?

- Jestem przyzwyczajona.

Wokół jej twarzy czerwonożłote loki tworzyły w słońcu płomienną aureolę. Na jedwabistej skórze pod oczami i nad górną wargą pojawiły się drobne kropelki potu. Brock czuł, że pragnie i potrzebuje właśnie tej kobiety. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Nic ci nie jest? - spytała w końcu.

- Powinniśmy wracać - powiedział zdecydowanie.

- Moglibyśmy zajrzeć do jaskiń. Przynajmniej do największej, o tam. - Wskazała w stronę wąskiego, ciemnego wejścia. - Może są tam rysunki naskalne. To nam poprawi nastrój, nim wrócimy do ponurej rzeczywistości.

- Może być niebezpiecznie.

- Czy ja dobrze słyszę? - Zachichotała. - Brock Tyson czegoś się boi? - Przytrzymała się jego ramienia i pierwsza ruszyła w górę. Gdy tylko poczuła pewny grunt, przyspieszyła jak gazela.

- Shelley, zatrzymaj się! Pójdę pierwszy i zdecyduję, czy wejdziemy.

- Tak jest, pułkowniku. - Zasalutowała z uśmiechem.

Brock wyprzedził ją i zniknął w jaskini. Przed wejściem rośło kilka pustynnych roślin. Jedna z nich, nieznana Shelley, rozpościerała się na ścianie jak kaskada drobnych, czerwonych kulek. Były to pączki kwiatów, wydające oszłamiający zapach. Zatrzymała się, by je podziwiać, i poczuła zawrót głowy.

- Shelley! - Brock pojawił się przed nią i spojrzał zaniepokojony. - Dobrze się czujesz? Do diabła, wszystko przez upał. Nie powinniśmy iść tak daleko.

- Wszystko w porządku. - Z trudem się uśmiechnęła. - Znasz tamtą roślinę? - Wskazała na czerwone kulki.

-Nie, dotąd jej nie wdziałem. Bardzo silnie pachnie. Shel, wejdź do jaskini. Tam jest chłodniej, dojdiesz do siebie.

- Są jakieś rysunki na ścianach?

- Chodź, sama sprawdzisz.

Po chwili jej oczy oswoiły się z ciemnym wnętrzem.

- I jak? - spytał.

- Och, Brock!

Rozglądała się zachwycona. Ściany stanowiły prawdziwą galerię. Najpewniej trafili do pradawnej świątyni Abo-rygenów. Wysoka jaskinia miała idealnie płaską podłogę, pokrytą piaskiem zabarwionym ochrą.

Shelley rozpuściła włosy spięte w kucyk. W chłodzie jądani poczuła się dużo lepiej i mogła podziwiać wspaniałe naskalne rysunki. Przedstawiały dziwne postaci. Jedna wyglądała jak przybysz z innego świata. Od żółtej głowy,

rozchodziły się czerwone promienie, do ramion przyczepiona była lotnia.

- Kim są ci ludzie? - spytała, spoglądając na grupę tancerzy.

- Możemy tylko snuć przypuszczenia. Może ten dziwny lotnik mieszkał w tej jaskini? Rysunki są w doskonałym stanie, pewnie dlatego, że nie zaglądają tu turyści.

- Żałujesz, że cię tu zaciągnęłam?

- Nie. Dziś mam dzień pełen niespodzianek.

- Naprawdę mi przykro, że w Mulgaree tak to wszystko się potoczyło... - Nagle poczuła, że pod jego spojrzeniem wzbierają w niej gwałtowne uczucia. Za dużo o nim myślała. Teraz pragnęła, żeby natychmiast ją objął.

- Powinniśmy już wracać - stwierdził Brock.

Patrzył na nią, walcząc z sobą. Powoli ruszyła do wyjścia. Choć nie stał jej na drodze, otarła się o niego. W tym momencie zdał sobie sprawę, że już nic go nie powstrzyma. Pragnął jej bardziej niż czegokolwiek na świecie. Mocno chwycił ją w ramiona i przywarł ustami do jej ust.

Miała na sobie białą bluzkę z niewielkim guzikami. Niecierpliwie zaczął je rozpinąć, by objąć niewielką, jedwabistą pierś, potem pocałować cudowną krągłość. Nie wyobrażał sobie, że będzie to tak wspaniałe uczucie. Narastało w nim pożądanie. Rozsądek podpowiadał, żeby przerwać, póki nie będzie już odwrotu, lecz Shelley przywarła do niego całym ciałem, odpowiadając na każdy ruch i gest. Teraz liczyło się tylko to, że miał ją w ramionach. Uniósł ją nad ziemię, czując dotyk jej włosów na twarzy i szyi.

- Powinnaś mnie powstrzymać.
- Nie potrafię. Nie chcę...
- Wiesz, co zaraz może się stać?
- W moim życiu nie zdarzyło się jeszcze nic wspaniałego. Wiem, co robię.
- Jesteś dziewicą...
- Już nie chcę nią być. Nie zostawiaj mnie, Brock...

Położył ją na piasku i ściągnął ubranie. Miała piękniejsze ciało, niż widział je w marzeniach. Pochylił się nad nią, delikatnie całując piersi. Dłonią pieścił biodra, uda, brzuch, aż dotarł do najgorętszego miejsca. Delikatnie otworzył je językiem.

- Brock! Och, Brock...

Spowiła ich mgła miłosnego uniesienia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Shelley otworzyła oczy i zobaczyła pochylonego nad nią Brocka. Powoli odzyskiwała świadomość. Leżała na piasku z dziwnym uczuciem, że jej ciało należy teraz do niego.

- Shelley... - Odgarnął z jej twarzy niesforny lok. - Wszystko w porządku? Już zacząłem się niepokoić.

Nie odpowiedziała, lecz patrzyła mu w oczy. Była Brockowi głęboko wdzięczna. Okazał się delikatnym, czułym, a kiedy trzeba - ognistym kochankiem. Dzięki niemu w cudowny sposób wkroczyła w świat najwspanialszych doznań.

- Pragnęłaś mnie równie mocno jak ja ciebie - powiedział z czułością.

- Chyba trochę mnie kochasz... - Nie wyobrażała sobie, że przeżycie może być tak silne.

- Całkiem możliwe. - Pocałował ją.

- Nauczyłeś mnie, jak naprawdę można się kochać. Nie przypuszczałam, że można tak się czuć. Co prawda teraz nie mam siły wstać, a tak w ogóle to nie mam na to ochoty. Mogłabym zostać z tobą w tej jaskini. Dla mnie będzie to już zawsze nasza jaskinia. - Wzruszyła się do łez.

- Shelley, proszę, nie płacz.

- To dobre, słodkie łyzy. łyzy szczęścia.

- Muszę spróbować. - Zlizał samotną łyżkę. - Rzeczywiście słodka. - Pocałował jej usta. - Znow mam na ciebie ochotę. Małeńka, dokumentnie mnie uwiodłaś.

- Ja też ciebie chcę.

Przesunęła dłoń po jego ciele. Czuła, że drży pod jej dotykiem.

- Co teraz z tym zrobimy? - spytał z uśmiechem. - Powiniennem zawieźć cię do domu i wrócić do Mulgaree, żeby opłakiwać dziadka i pilnować swoich interesów.

- Zamiast tego jesteś ze mną. Po tym, co przeszliśmy, należy nam się chwila szczęścia.

Gdy Shelley wróciła do Wybourne, cała rodzina czekała na nią niecierpliwie na werandzie.

- Gdzie byłaś? - spytała Amanda, zanim Shelley zdążyła postawić nogę na schodach. - Wyjechałaś z Mulgaree kilka godzin temu. Gdzie się włóczyłaś?

- Oczywiście tam, gdzie Brock. To on pilotował helikopter. Amanda, właściwie co cię to obchodzi? - rzuciła ostro, zupełnie jak nie ona.

- Shelley, wejdz do domu - powiedział ojciec, wstając z krzesła.

Patrick Logan, niegdyś przystojny i postawny mężczyzna, z powodu cierpienia i alkoholu wyglądał jak własny cień. Dobrze, że jak na razie był trzeźwy. Zjawiła się nawet matka. Przed śmiercią synka Loganowie cieszyli się powszechną sympatią, byli weseli i życzliwi sąsiadom, impo-

nowali też wzorowym prowadzeniem farmy. Niestety tragedia załamała ich zupełnie.

- Jesteś cała w piasku. - Amanda podejrzliwie przyjrzała się siostrze. - Chyba nie przyszło ci do głowy wyprawiać coś z Brockiem Tysonem? Znasz jego reputację.

- Och, jaka skromnisia. Niewinna lilia z ciebie, co, Mandy?

- Dość tego, Shelley! - wrzasnął ojciec. - Amanda ma prawo pytać. Martwiliśmy się o ciebie. Philip Kingsley dzwonił kilka razy.

- W jakiej sprawie, do diabła? - Za kogo on się uważał? Za jej męża?

- Chciał wiedzieć, dlaczego nie ma cię w domu. Opuściłaś Mulgaree około czternastej. Obawialiśmy się, że miałaś wypadek.

- Raczej Philip obawiał się, że byłam z Brockiem - rzuciła ze złością. - Zżera go zazdrość o kuzyna. Przykro mi, jeśli tak się przejęliście - stwierdziła bez cienia skruchy. - Brock chciał trochę odpocząć, więc wylądował na pustyni.

- Stąd ten piasek... - Amanda badawczo przyglądała się siostrze. Shelley spędziła popołudnie w pustynnym upale, a wyglądała podejrzanie kwitnąco.

- Muszę wziąć prysznic.

- Shelley, tylko pospiesz się. - Matka po raz pierwszy zabrała głos. - Mamy sprawy do omówienia.

Gdy wróciła świeża i pachnąca, rodzina siedziała w salo-

nie. Ojciec ze spuszczoną głową, matka z zamkniętymi oczami, tylko Amanda dosłownie wrzała z niecierpliwości.

- Siadaj, Shelley - powiedział ojciec. - Gdy odebrałem pierwszy telefon od Philipa, powiedział mi o testamencie dziadka. Jak rozumiem, został głównym spadkobiercą Reksa Kingsleya, natomiast ten drugi chłopak nie dostał nic. Uważam, że to niesprawiedliwe, ale to nie moja sprawa. Kingsley był okrutnym człowiekiem... Nie rozumiem, dlaczego chciał, żeby Brock tu przyjechał.

- Tato, Brock nie jest już chłopcem. To prawdziwy mężczyzna, któremu Philip nigdy nie dorówna.

- Dość tego! - zawołała Amanda. - Phil dostał majątek, ciężkie miliony. Boże, jak bym chciała, żeby zainteresował się mną. Niestety woli ciebie.

- Chętnie ci go odstąpię.

Ojciec na chwilę uniósł wzrok.

- Shelley, on mówi, że cię kocha i chce się z tobą ożenić. Czy to nie wystarczy? Przy okazji chciałem ci powiedzieć, że odwołałem tych turystów, co mieli tu przyjechać. Nie lubię, jak po moim terenie kręcą się obcy. Wiem, że dobrze płacą, ale już nie potrzebujemy ich pieniędzy.

- Tato, jak mogłeś? Poczują się oszukani. Muszę oddać im zaliczki. Powinieneś uzgodnić to ze mną. Przecież potrzebujemy pieniędzy. Poza tym to źle wpłynie na wizerunek mojej firmy.

Matka wzięła ją za rękę.

- Shelley, posłuchaj ojca. Nie myśl, że nie doceniamy twoich wysiłków. Jesteś rozsądną dziewczyną. Możesz zająć

wysoko, jeśli tylko będziesz miała szansę. Właśnie teraz trafia ci się taka okazja. Żadna dziewczyna nie odrzuciłaby Philipa Kingsleya. On otworzy przed tobą świat.

- Nie Kocham go. Kiedy wreszcie weźmiesz to pod uwagę? On mnie nie interesuje jako mężczyzna.

- W odróżnieniu od Brocka, jak sądzę? - wtrąciła Amanda. - Rzeczywiście jest bardzo seksowny, ale to żaden kandydat na męża.

- Amanda, nie rozmawiamy teraz o seksie. - Patrick Logan spojrział na nią ze złością. - Mówimy o małżeństwie. To najpoważniejsza sprawa w życiu kobiety. Philip jest przystojnym, przyzwoitym młodym człowiekiem. To prawda, że nie dorównuje Brockowi, ale jest młody i zdrowy. Uwierz mi, Shel, miłość przyjdzie później.

- Tato, ty mnie nie słuchasz! Nie jestem zainteresowana Philipem.

- W takim razie lepiej się nim zainteresuj. Poświęci ci całe życie. Jesteś głupia. Kocha cię i powinnaś czuć się zaszczycona.

- Pomyśl, jak mogłabyś nam pomóc - wtrąciła Amanda. - Jeśli zostaniesz panią Kingsley, będzie to dla nas wielki awans. Z Kingsleyami każdy się liczy. Philip będzie bogaty i wpływowy, a z twoją pomocą wzmocni się, uwierzy w siebie.

Shelley spojrzała na siostrę z niedowierzaniem.

- Mandy, o czym mówimy? O prostytucji?

Ojciec wprost spurpurowiał.

- Powinnaś umyć sobie usta mydłem. Nie pozwolę, że-

byś mówiła w ten sposób. Rozmawiamy o twojej przyszłości. Wspaniałej przyszłości. Kochamy cię.

-Naprawdę, tato? - Wreszcie nadeszła chwila prawdy. - Przecież zawsze odwracasz się ode mnie ze wstrętem, a mama ucieka, gdy tylko próbuję z nią rozmawiać. Nie kochacie mnie. Nie możecie mi wybaczyć, że przeżyłam, gdy Sean utonął.

- Shelley, przestań! - zagrzemiał ojciec.

- Nie, nie przestanę - powiedziała twardo. - Unikanie rozmów o Seanie nikomu z nas nie wyszło na dobre. Był moim bliźniakiem, drugą połową. Wciąż o nim myślę, rozmawiam z nim...

- Nigdy nie przestaniesz? - W głosie Patricka Logana był i gniew, i cierpienie.

- Przestań, Shelley! -. zawołały jednocześnie matka i Amanda.

- Oczywiście, wszyscy tego chcecie. To by wam odpowiadało. Od tamtego dnia traktujecie mnie, jakbym popełniła przestępstwo. Miałam sześć lat. Niewiele pamiętam oprócz krzyku. Reszta jest jak biała plama. Wiem, że nie zrobiłam Seanowi żadnej krzywdy. Kochałam go. On kochał mnie bardziej niż kogokolwiek z was. Zawsze biegł do mnie. Nigdy do Mandy.

-W takim razie wielka szkoda, że go popchnęłaś - stwierdziła kwaśno Amanda. - Tylko nie rób takiej miny, jakbyś zaraz miała zemdleć. Wszyscy o tym wiedzą.

- Amanda, jesteś okrutna - z bólem szepnęła matka. - Ja nie wiedziałam.

- Wszyscy jesteście okrutni - powiedziała Shelley łamiącym się głosem. - Któregoś dnia przypomnę sobie. Amanda, zawsze mnie oskarżałaś, ale dobrze pamiętam, że jako starsza siostra niespecjalnie przejmowałaś się opieką nad nami.

- Skończcie już - zarządził Patrick Logan. - Przypomnienie tamtego dnia do niczego nie prowadzi. Sean był moim synem. Nie sądzę, żebyście wy, kobiety, potrafiły zrozumieć, co to znaczy dla mężczyzny mieć syna. Potępiasz nas, że twoja obecność ciągle przypomina nam o Seanie... Ale tego nie da się zmienić. On był wyjątkowy.

- Też jestem wyjątkowa, tato. Tylko nie chcesz tego zauważyć.

- Shelley, bardzo wiele dla nas znaczysz - wtrąciła matka. - Ja i ojciec rozumiemy, jak bardzo cierpiałaś.

- Ja też cierpiałam - stwierdziła Amanda.

- Wyglądasz jak mama - powiedziała Shelley. - Sean i ja wrodziliśmy się w Nanę. Gdybym była niebieskooką blondynką, może też potrafiłabyś mnie kochać.

Matka pochyliła głowę, jakby ujawniona została jej największa tajemnica.

- Ojciec i ja kochamy cię, choć nie potrafimy o tym mówić. Życzymy ci jak najlepiej, a najlepsze dla kobiety jest udane małżeństwo. Philip zmieni się przy tobie i będzie ci wierny.

- Chcemy, żebyś miała zapewnioną przyszłość - dodał ojciec. - Philip przyjedzie tu rano, żeby oficjalnie uzyskać moją zgodę.

Shelley spojrzała, jakby w nią piorun strzelił.

- Chyba żartujesz, tato? To już dwudziesty pierwszy wiek, czy może jeszcze królowa Wiktorja nadal zasiada na tronie?

- To godna szacunku tradycja, choć może wydawać się staromodna.

- Miły zwyczaj - poparła go Amanda. - Przemyśl to, Shelley. Możesz dużo zyskać, a my razem z tobą.

Shelley postarała się, żeby jako pierwsza powitać Philipa. Nie zależało jej na powitaniu, lecz na wyjaśnieniu sprawy. Rodzice gotowi byli sprzedać ją temu, kto da więcej, a siostra gorąco ich popierała. Dawali przy tym do zrozumienia, że chodzi im wyłącznie o jej dobro. W rzeczywistości zależało im na własnych korzyściach. Majątek Loganów, mimo wysiłków Shelley, nieuchronnie zmierzał ku upadłości, dlatego wyznaczili jej zadanie, by podreperowała finanse rodziny przez małżeństwo z rozsądku. Nie mogła zrozumieć, że ludzie nadal decydowali się na takie związki. Czyżby uczucia nie miały żadnego znaczenia?

Tego dnia matka wyjątkowo zadbała o wygląd. Uczesowała się, włożyła sukienkę Amandy. Wyglądała o wiele młodziej. Nawet ojciec włożył odświętną koszulę i długie spodnie zamiast szortów. Uważali za oczywiste, że to, czego chcieli, po prostu musi się stać.

Nie jestem owcą, która da się złożyć w ofierze, pomyślała Shelley. Jeśli wyszłabym za Philipa, sama poderznęłabym sobie gardło! Niech Amanda szuka milionera, żeby ratować rodzinny majątek.

Zaczekała, dopóki wirnik helikoptera nie przestał się kręcić. Philip wyskoczył z triumfującą miną.

- Shelley! - zawołał radośnie. - Nie spodziewałem się, że po mnie wyjdiesz. Zamierzałem przejść się do waszego domu.

- Możemy podjechać samochodem. Jednak najpierw musimy porozmawiać. Co cię tu sprowadza? Chyba nie myślisz poważnie, że będziesz prosił ojca o moją rękę?

- Ależ, Shelley, myślałem, że będzie to wzruszający gest.

- Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł? Tłumaczyłam ci na różne sposoby, że nie jestem tobą zainteresowana. Jesteśmy przyjaciółmi. Kropka. Kiedy przestaniesz mnie szpiegować? Wczoraj dzwoniłeś tu kilka razy!

- Martwiłem się o ciebie. Nie ufam Brockowi. Bardzo cię kocham i mam nadzieję, że też mnie w końcu pokochasz.

- Phil, do diabła! Czy ty jesteś kompletnie głuchy? Nie kocham cię! Ile razy mam ci to powtarzać? Rozumiem, że trudno ci się z tym pogodzić. To prawda, przyjaźniliśmy się, ale jeśli nie dasz mi spokoju, to nawet przyjaźń wyparuje. Jakim prawem ośmielasz się rozmawiać z moim ojcem o naszym małżeństwie?

- Bo jesteś uparta. Pokochasz mnie, jeśli będziemy razem. Wytłumaczyłem to twojemu ojcu. Twój rodzice mnie lubią. To nie ma dla ciebie znaczenia? Nie chcesz im pomóc? Jestem bardzo bogaty. Jeszcze nie dotarło to do ciebie?

T Mam w nosie twoje pieniądze! Mam w nosie, co mówią moi rodzice! - Była bliska furii. - Poza tym nie czuj się tak pewny siebie, Brock na pewno nie zostawi sprawy spadku.

- On już nic nie może. Testament jest nie do podważenia. Czy później pojedziesz ze mną do Mulgaree?

- Nie! - stwierdziła dobitnie.

- Chodzi o moją matkę? Wszystko się zmieni. Nie przejmuj się nią. Za długo mną rządziła. Wyjedzie, choć może nie od razu. Zapewniła mnie, że nikczemne oskarżenie Brocka o romans z Geraldem Maitlandem to zwykłe kłamstwo.

- Jasne. Zawsze chowasz głowę w piasek jak struś. - Uśmiechnęła się do siebie. - Wiesz, chyba znalazłam wyjście z tego impasu. Otóż Amanda poszukuje bogatego męża.

Wydał pogardliwie wargi, tak samo jak zwykła robić jego snobistyczna matka.

- Amanda mnie nie interesuje. Trudno uwierzyć, że jesteście siostrami. W niej jest coś wulgarnego.

- Och, nie przesadzaj. To co, ruszamy do domu i niedługo będziemy mieli problem z głowy. Tylko nie pleć bzdur mojemu ojcu. - Ruszyli do dżipa. - Powiedziałeś Brockowi, dokąd się wybierasz?

- Tak. Roześmiał się tylko. Uważa mnie za durnia, chociaż nim nie jestem. Mam teraz mnóstwo obowiązków. Może nawet wymyślę coś, żeby pomóc Brockowi. Będzie mi potrzebny, żeby nadzorować roboty. Jest bystry, twardy, ma posłuch wśród ludzi. Jak sądzisz? Mógłby przejąć Strathdownie i stamtąd kierować wszystkim. Powinno go to zadowolić.

- Och, będzie skakał ze szczęścia.

Jednak Philip nie wyczuł ironii.

- Tak właśnie zrobię. Nie chcę, żebyś myślała, że jestem bez serca.

Zachowanie rodziny było zawstydzające. Philip został potraktowany jak książe, który zaszczycił swoją wizytą skromne progi Wybourne. Natychmiast uwierzył, że osiągnie swój cel. Przecież wszyscy mu przytakiwali, a opinią przeszłej panny młodej zupełnie się nie przejmował.

Za chwilę zaczną się targować o moją cenę, pomyślała z obrzydzeniem. Jakbym była krową na targu.

Zdawała sobie sprawę, że gdy odmówi Philipowi ręki... a przecież tak właśnie postąpi... jej życie w Wybourne zamieni się w piekło. Tyle że od lat jej życie było piekłem i tylko miłość nie pozwalała jej odciąć się od rodziny. Lecz teraz została całkowicie zlekceważona i... poczuła się wolna. W Wybourne nie było już dla niej miejsca. Nie należało do niej i nigdy nie będzie. Należało wyłącznie do ojca. Potrafił zaingerować w jej firmę, samowolnie odwołał turystów. Nieważne, że niszczył jej pracę, ważne, że tak postanowił. Pracownicy agencji byli wściekli, zagrozili Shelley, że zerwą z nią umowę. Rozumiała ich znakomicie.

Złość aż ją rozsadzała. Musiała natychmiast wyjść z domu i przemyśleć wszystko w samotności. Spędzi kilka dni w mieście, zanocuje w pubie. Tylko czy ojciec pozwoli jej wziąć ciężarówkę? Włożyła mnóstwo pracy i zarabiała pieniądze dla rodziny, a nie miała niczego własnego.

Ojciec niechętnie zgodził się, by wzięła samochód, musiał jednak ustąpić, gdy Shelley powiedziała, że musi zwrócić zapasy, które kupiła dla turystów. Dodała, że może zostanie dzień lub dwa, żeby wszystko przemyśleć. Ojciec skinął głową. Uważał, że po głębszym zastanowieniu córka odzyska rozsądek.

Pobiegła do pokoju, spakowała walizkę i wyniosła ją do garażu przez tylne drzwi. Gdy odjeżdżała, nikt jej nie żegnał.

Dojechała do miasteczka późnym popołudniem i zaparkowała za pubem.

- Kochanie, chcesz ten sam pokój? - spytał Mick Donovan.

- Jasne, Mick. Już go polubiłam. - Energicznie pomaszrowała na górę.

Godzinę później znów była na głównej ulicy. Dogadała się z Annie Hope, która przyjęła z powrotem produkty. Głównym tematem rozmów w mieście była śmierć Reksa Kingsleya. Nikt w Koomera Crossing nie znał jeszcze testamentu, ale wszyscy zgodnie uważali, że Brock powinien odziedziczyć majątek.

Po wyjściu ze sklepu Shelley usłyszała szybkie kroki, po chwili ktoś dotknął jej ramienia.

- Shelley, właśnie ciebie chciałam spotkać!

Odwróciła się z szerokim uśmiechem. Ten głos rozpoznałaby wszędzie.

- Christine, jak się cieszę! Co u ciebie?

Stała przed nią wysoka, zgrabna młoda kobieta. Pro-

mieniała zdrowiem i radością życia. Christine Claydon była kiedyś modelką. Niedawno wyszła za Mitcha Claydona z Marjimba Station.

- Wszystko świetnie. Mam dla ciebie cudowną wiadomość. Już nie mogę się doczekać, żeby ci powiedzieć. Mogłybyśmy gdzieś usiąść przy kawie?

- Chętnie! Doskonale wyglądasz. Małżeństwo dobrze ci służy.

- Jestem szczęśliwa. Prawdziwa miłość to cud. Mam nadzieję, że ty też ją znajdziesz.

- Możliwe, że już to się stało.

- Mówisz poważnie? Musisz mi wszystko opowiedzieć!

Kilka minut później siedziały przy kawiarnianym stoliku, pijąc cappuccino.

- Najpierw ty - zarządziła Shelley.

- Nie uwierzysz - zaczęła z przejęciem. - Znaleźliśmy skarb. Skarb Claydonów.

- Nabierasz mnie!

- Dziś rano dzwoniłam do Wybourne, ale cię nie było. Amanda powiedziała, że pojechałaś do miasta. Jestem taka przejęta, a wszystko przez ciebie. Mitch i KyaE postanowili poszukać kolejny raz. Mielśmy dużo pracy i dotychczas nie było na to czasu. Dziś postanowili skorzystać z twojej podpowiedzi.

-i udało się? Tylko dlatego, że linia przedstawiająca wysychający strumień skojarzyła mi się z żółwiem?

-Strumień Żółwia czyli Turtle Creek. Właśnie tam

ukryty był skarb. Niemal pod nosem rodziny. Trzeba było użyć wykrywacza metali. Szukali dwie godziny wzdłuż ,
obu brzegów, aż wykopali stare, przerdzewiałe, metalowe pudło.

- Co było w środku? Warto było się wysilać?

- Złoto i biżuteria. Mitch przyznał, że zaczęli skakać w kółko jak małe dzieci.

- Bardzo się cieszę, że wam się udało. To cudowne, że opowieść o zakopanym skarbie okazała się prawdziwa.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni. - Christine uściśnięła dłoń Shelley. - Uważamy, że należy ci się nagroda. Chcemy spotkać się z tobą.

Christine - zaczęła zażenowana - to bardzo miło, ale nic mi się nie należy.

- Nie bądź dzieckiem. Bez ciebie nie znaleźlibyśmy skarbu. Naprawdę ma sporą wartość.

- Przecież tylko zwróciłam uwagę Mitcha na jeden szczegół. Jesteśmy przyjaciółmi i...

- Jesteśmy twoimi dłużnikami. Chcemy, żebyś przyjechała do Marjimby. Spędzisz z nami kilka dni. Mitch po ciebie przyjedzie, tylko powiedz, kiedy masz czas.

- Chętnie przyjadę. Cieszę się, że się spotkałyśmy właśnie dziś. Bardzo potrzebuję pogadać z kimś, komu mogę zaufać.

- Mów śmiało. - Christine spoważniała gwałtownie. - Chodzi o twoją rodzinę?

- Wiesz, że zmarł Rex Kingsley?

- Jasne. Całe miasto o tym mówi. Słyszałam, że nawet

Brock przyjechał. Nie powiem, interesujący facet. Mów, o co chodzi - powiedziała Christine.

Shelley przez jakiś czas opowiadała o ostatnich wydarzeniach.

- Nie sądzę, żeby Rex Kingsley powiedział Brockowi jedno, a zrobił drugie - skomentowała Christine. - Jednak jeśli sprawa trafi do sądu, będzie to bardzo trudny proces... A twoja rodzina paskudnie postępuje, zmuszając cię do małżeństwa z Philipem. Ten głupek nie potrafi przyjąć odmowy?

- Uważa, że liczy się tylko to, czego sam chce. - Shelley wzruszyła ramionami.

- Co z Brockiem?

Shelley westchnęła.

- Zakochałam się w nim.

- Jeśli jest taki jak kiedyś... - Christine uśmiechnęła się.

- Może jestem naiwna.

- Myślisz, że chce cię wykorzystać?

- Nie. Brock jest twardy, ale wrażliwy. Wydaje mi się, że też się we mnie zakochał, jednak nie chcę, żeby czuł się usidlony. I tak jest zgorzkniały i zły.

- Nie dziwię mu się - powiedziała Christine. - Rex Kingsley był tyranem. Pieniądze i władza potrafią zmienić człowieka w potwora. To, co przeżył Brock, gdy dorastał, musiało zostawić w nim trwałe ślady. - Objęła dłoń Shelley.

- Jednak ty masz w sobie coś uzdrawiającego. Jesteś dzielna, zdolna i miła. O czym więcej może marzyć mężczyzna? Czy Brock ma zamiar zostać?

- Nie wiem. Jeśli wyjedzie, chyba tego nie zniosę. Wyda-
je mi się, że jego decyzja zależy od ostatecznego wyjaśnie-
nia sprawy testamentu.

- Jeśli zaproponowałyby ci wspólny wyjazd, zdecydowa-
łabyś się?

- Nawet na koniec świata. W Wybourne nie mam już co
robić. Ojciec zaczął niszczyć moją firmę, a za Philipa na
pewno nie wyjdę. Nie zamierzam w ten sposób uszczęśli-
wić rodziny. Zbyt wysoka cena.

- Co masz zamiar zrobić? Zawsze możesz przyjechać do
nas i spokojnie wszystko przemyśleć. Jeśli chcesz, możesz
zabrać się ze mną nawet teraz.

- To bardzo miłe z twojej strony, ale pozwól mi się za-
stanowić.

- Jasne. Myślę, że z Brockiem może ci się powieść. Je-
steś właśnie taką kobietą, jakiej szukał. Działaj spokojnie
i z rozwagą.

- To nie takie proste, gdy człowiek się zakocha i nie wie,
co z tego wyniknie.

- Myślisz, że tego nie rozumiem? - Christine uśmiech-
nęła się. - Powiem ci tylko, że jeśli naprawdę go kochasz,
nie poddawaj się.

- Nawet jeśli wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie?

- Shelley, wiem, że potrafisz wałczyć. Przekonaj Bracka,
że cię potrzebuje.

- Eula jest w mieście - poinformował Mick Donovan,
gdy Shelley zeszła na śniadanie. - Pomyślałem, że cię to

ucieszy, bo wiem, że się przyjaźnicie. Złożyła w sklepie wielkie zamówienie. Zdaje się, że szykuje się duże przyjęcie, zaledwie stary Kingsley zamknął oczy.

Dopiero przed południem Shelley zauważyła Eulę Martin, gosposię z Mulgaree, wychodzącą ze sklepu z tkaninami.

- Eula! - zawołała.

- Och, Shelley! Jak miło cię widzieć. Pani Kingsley wysłała mnie na zakupy, a tak naprawdę pozbyła się na jakiś czas, bym nie widziała, co dzieje się w domu. Obawiam się, że teraz, gdy zaczęła rządzić, szybko zwolni mnie z pracy.

- Chodźmy gdzieś pogadać, zapraszam na herbatę.

- Właśnie zamierzałam gdzieś przysiąść na chwilę. Wiesz...

- Przerwała na chwilę. - Pierwszemu Brockowi powinnam o tym powiedzieć...

- O czym?

- Że zrobiłam kopię testamentu.

Shelley stanęła jak wryta.

- Co takiego? - Chwyciła Eulę za rękę. - Którego?

- Tego, który niedawno podpisałam. Przeczuwałam, że pan Kingsley wszystko zmieni...

- Czy dobrze zrozumiałam, że masz kopię ostatniego testamentu?

- Nie uważam, że zrobiłam coś złego. - Eula zaczerwieniła się lekko. - Pan Maitland ręcznie nabazgrał testament i wysłał mnie po dużą kopertę, a potem zszedł do holu, żeby porozmawiać z panią. Natychmiast straciła humor. Wtedy szybko poszłam do gabinetu i zrobiłam kopię na faksie.

- Nikt nie zauważył?

- Nie, oboje byli zbyt zajęci. Szeptali z sobą jak złodzieje, mną się nie przejmowali. Dobrze gotuję i dbam o dom, ale nie jestem zbyt bystra i ostatnio tracę pamięć. Powinnam iść do lekarza. Może to ta okropna choroba?

- Alzheimer? Och, na pewno nie. Eula, przeczytałaś testament? - niecierpliwie spytała Shelley.

- Kochanie, jak mogłabym zrobić coś takiego? - stwierdziła z miną niewiniątka.

- Przeczytałaś? - nie ustępowała Shelley.

- Nie miałam czasu, na dodatek gdzieś zapodziałam okulary. Bez nich już nie widzę liter.

- Czy pan Kingsley podpisał testament w twojej obecności?

- Oczywiście. Przecież tak powinno być. Dlatego potrzebował świadka.

Przez dłuższą chwilę Shelley milczała.

- Gdzie jest ta kopia?

- Nie wiem, ale przypomnę sobie. Widzisz, o tym właśnie mówię. Chowam rzeczy i nie pamiętam gdzie. Ciągłe nie mogę znaleźć złotej broszki z drobnymi brylantami, jedynej wartościowej pamiątki po mamie. W końcu znajdzie się. Jest gdzieś w domu.

- To wielki dom... Czy to było w gabinecie? Wsunęłaś kartkę do jakiejś książki?

- Na pewno nie, bo ktoś mógłby ją znaleźć. Nie martw się, kochanie. Zwykle w końcu wszystko znajduję. - Eula była wyraźnie zakłopotana. - Próbowałam przypomnieć

sobie, którądy szłam, zajrzałam nawet do chińskiego wazonu. .. Cóż, lepiej pamiętam sprawy sprzed pięćdziesięciu lat niż z poprzedniego dnia.

- Nie myśl o tym bez przerwy. Zajmij się swoimi sprawami, a to przypomni się samo. Teraz chodźmy wreszcie na herbatę. Może masz ochotę na coś jeszcze? Ja funduję. I pamiętaj, koniecznie musisz porozmawiać z Brockiem...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Philip wrócił z Wybourne zadowolony i pewny siebie. Przygotowania do pogrzebu dziadka nie zasmuciły go w najmniejszym stopniu. Uroczystość miała być bardzo skromna. Tylko najbliższa rodzina. Pracownicy nie zostali zaproszeni.

Rex Kingsley miał zostać pochowany w paskudnym grobowcu, który wznosił dla swego syna, Aarona, ojca Philipa. Co prawda Rex życzył sobie spocząć na prywatnym cmentarzu w Mulgaree, ale Philip zdecydował inaczej. Nikt nie odwiedzał grobowca od pogrzebu Aarona. Nie bywała tam Frances, wdowa po nim, ani syn, Philip, ani nawet Rex Kingsley.

Miejsce było ponure, zimne i wilgotne. Pracownicy farmy unikali go jak ognia, twierdząc, że słyszeli dochodzące stamtąd głosy.

- Z czego tak się cieszysz? - zagadnął Brock.

- Myślę, że Shelley da się przekonać, żeby za mnie wyjść.

Cała jej rodzina jest po mojej stronie.

- Żyjesz marzeniami.

- Shelley nie jest głupia. Wie, co mogę jej ofiarować.

Zresztą i tak podkochuje się we mnie.

Brock rzucił mu chłodne spojrzenie.

- Wierzysz w to, co mówisz? Rodzina chce ją zmusić do małżeństwa. Dla ciebie to nie jest odrażające?

Philip uśmiechnął się.

- Skoro może pomóc, to czemu nie?

- Twoja matka nie będzie wściekła?

- Nie będzie się wtrącać. Właśnie zamierzam zaprosić Shelley na pogrzeb. Powinna być przy mnie w takiej chwili.

Brock z trudem zapanował nad sobą.

- Wiesz, Phil, latasz gdzieś w chmurach, nie widzisz, co masz pod stopami. Wszystko sobie już ułożyłeś w głowie. Ożenisz się z Shelley, przywieziesz ją do Mulgaree. Jest tylko jeden problem: Shelley tego nie chce. Nie kocha cię. Pogódź się z tym!

- Pokocha - stwierdził Philip z absolutną pewnością. - Jest tylko uparta, ale ja czuję, że zależy jej na mnie. Nie możesz mi darować, że dostaję wszystko, co chcę, ale po co ta zazdrość? Nie musimy walczyć z sobą. Brock, chcę ci pomóc.

- Jak?

- Cóż, nie proponuję spółki, ale mogę cię zatrudnić. Po pogrzebie możemy usiąść i omówić szczegóły.

- Naprawdę myślisz, że uznam ten testament?

Philip uśmiechnął się.

- Wynajęcie prawników jest bardzo kosztowne, a ty nie masz takich pieniędzy. Poza tym chcesz, by dziennikarze grzebali się w naszych prywatnych sprawach? Lepiej zrób wszystkim przysługę i zostaw testament w spokoju.

- Przykro mi, Phil, ale nic z tego. Nie potrzebuję twoich rad. Dziadek powiedział mi jasno, że mam przejąć zarządzanie majątkiem. Uważał, że ty nie nadajesz się do tego. Twoja matka i ten jej kochaś zrobili gruby szwindel, a ja tego nie odpuszczę... A skoro mowa o dziadku, dlaczego zdecydowałeś się na ten nieszczęsny grobowiec? Przecież życzył sobie spocząć na prywatnym cmentarzu. Nie posłuchałeś jego woli. To był twój obowiązek

- Uznałem, że powinien być tam, gdzie jego syn.

- Nie tam, gdzie żona? Babcia spoczywa na cmentarzu.

- A ciotka Catherine w Irlandii. Wiesz, że dziadek nigdy ci tego nie wybaczył? Wiele razy o tym rozmawialiśmy - skłamał.

Brock znalazł Shelley w restauracji Harriet Crompton. Siedziały przy stoliku, oglądając rysunki. Było jeszcze zamknięte, więc zastukał w szybę.

- Co cię sprowadza? - spytała Harriet, z uśmiechem otwierając drzwi. Od razu zauważyła, że był w wyjątkowo podłym nastroju.

Pocałował ją w policzek.

- Chciałbym porozmawiać z Shel.

- Wszystko u ciebie w porządku? - upewniła się Shelley, widząc jego minę.

- Będzie świetnie, gdy tylko znajdę odpowiednie miejsce do życia. To twoje rysunki? Mogę obejrzeć? - Przysunął sobie krzesło.

Powoli przerzucał kartki. Znał te dzikie kwiaty i wielo-

barwne ptaki. Shelley narysowała je precyzyjnie, kreskę delikatnie uzupełniła kolorem, dodając im życia.

- Wspaniałe. Jesteś prawdziwą artystką. - Nie mógł odebrać wzroku. - Po oprawieniu w ramki wyglądałyby rewelacyjnie. W Mulgaree jest kolekcja prac Johna Goulda. Przyjechał do Australii około 1840 roku, żeby malować ptaki. Widziałaś je?

- Nie, ale chętnie zobaczę. Gould wydawał książki o ptakach z całego świata.

- Czyżby Philip, który jest przekonany, że za niego wyjdiesz, nie miał czasu, by ci je pokazać?

- Nie wyjdę za Philipa, a moje rysunki go nie interesują. Traktuje je jak niegroźne hobby.

- Kompletnie się na tym nie zna - podsumował Brock.
- Co możemy zrobić z twoim talentem?

- Zacznijmy od wystawy - zaproponowała Harriet.

- Jeszcze nie wiadomo, co się będzie ze mną działo w najbliższym czasie - powiedziała Shelley.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Brock niespokojnie poruszył się na krześle. Czyżby zmieniła zdanie w sprawie Philipa?

- Na razie to bez znaczenia. - Machnęła lekceważąco ręką. - Próbowalam pilnie skontaktować się z tobą. Zadzwoniłam do Mulgaree, ale odebrała Frances. Powiedziała, że cię nie ma i rzuciła słuchawkę.

- Jak miło! - wtrąciła Harriet. - Może podam wam kawę i pogadacie sobie w cztery oczy? Mam sporo pracy.

- Dzięki, Harriet - powiedział Brock. - Raczej zarezer-

Powrót ukochanego

wujemy stolik na wieczór. Wpół do ósmej? - Spojrzał na Shelley.

- Zgoda.

Wyszli razem. Na głównej ulicy jak zwykle w środę panowało wyjątkowe ożywienie. Był dzień targowy, wśród straganów kręcił się tłum.

- Kupmy kanapki i odjedźmy gdzieś dalej. Mamy sporo do omówienia.

- Czym przyjechałeś?

- Samochodem. Nie miałem ochoty błagać Philipa o helikopter. Jako pan na Mulgaree stał się nagle bardzo ważny.

- Mam dla ciebie nowiny.

- Dobrze?

- Nie dotyczy mnie i Philipa, jeśli o to ci chodzi

- Ten dureń całkiem poważnie traktuje cię jak swoją własność.

- A ty uważasz, że mu ulegnę?

- Nie kłóćmy się na ulicy. Najpierw coś zjedzmy, dopiero potem będziemy walczyć jak pies z kotem.

Po dwudziestu minutach jazdy znaleźli wreszcie zacienione miejsce nad laguną. Brock zatrzymał zakurzony samochód.

- Możemy rozłożyć koc pod drzewami - zaproponował.

- Zgoda.

- Teraz możesz opowiadać - powiedział, gdy usiedli wygodnie i rozpakowali kanapki.

- Nigdy w to nie uwierzysz...
- Jestem już w talom stanie, że mogę uwierzyć we wszystko.
- Eula jest w mieście.
- Świetnie. Pewnie powinienem być przejęty?
- Jeśli nie chcesz słuchać, to się nie dowiesz - rzuciła ze złością.
- Przepraszam, kochanie. Muszę bardziej panować nad sobą. Co z Eulą?
- Zrobiła kopię ostatniego testamentu. Maitland wysłał ją po kopertę, a ona zrobiła kopię na faksie.
- Świetnie! Tylko czy dokument był podpisany? Gerald twierdził, że nie.
- Kłamał. Eula zapewnia, że był. Ona nie jest głupia i wie, co mówi. Była świadkiem złożenia podpisu przez dziadka.
- Dlaczego dotychczas milczała? Czytała ten testament? Gdzie on jest, do diabła?
- Nie czytała go, bo nie miała czasu. Schowała go, żeby nie zginął. Tylko że...
- Cholera! Zapomniała...
- Na pewno jest gdzieś w domu.
- To jak szukanie igły w stogu siana. Na dodatek nie wiemy, czy ta igła jest coś warta. Bo jeśli jednak dziadek zarwił ze mnie?
- Założę się, że ten kawałek papieru zmieni twoje życie. W żadnym razie nie rezygnuj.
- Nawet o tym nie myślę... Shelley, co myślisz o tym wszystkim?

- Wygląda na to, że adwokat dziadka beczelnie kłamał. Jak na prawnika to duży błąd, choć podejrzewam, że oni wszyscy ciągle to robią, tylko subtelniej... Matka Philipa też jest w to zamieszana. Wspólnie popełnili więc kilka przestępstw. Zmowa, zniszczenie dokumentu, bezprawne zagarnięcie majątku... Natomiast nie wydaje mi się, żeby Philip miał z tym coś wspólnego.

- No nie! Znów bronisz tego sukinsyna.

- Powinieneś umyć usta mydłem. Możesz nie uwierzyć, ale wczoraj tak do mnie powiedział ojciec.

+ Już nigdy nie uwolnisz się od rodziny?

- Twoja jest gorsza od mojej.

- Zgoda. Czy mogą cię zmusić do ślubu z Philipem?

- Nie ma mowy. Chcę jak najszybciej wyjechać, żeby wszystko przemyśleć. Może przy okazji dostanę trochę pieniędzy. Pamiętasz powieści o skarbie Claydonów?

- Jasne, kto ich nie słyszał? Tylko nie mów, że go znalazłaś.

- Mitch i Kyall McQueen go znaleźli. Dowiedziałam się od Christine.

- Co to ma wspólnego z tobą?

- Dałam im wskazówkę, gdzie szukać. Przyjrzałam się starej mapie i odczytałam ją po swojemu. Okazało się, że miałam rację. Znaleźli złoto i chcą dać mi nagrodę.

- Potrafisz sprawiać cuda - rzekł z podziwem. - Od tej chwili wierzę w legendy o skarbach.

Shelley położyła się na plecach i potarła skronie. Nawet w cieniu upał stawał się nie do zniesienia.

- Mam ochotę popływać.

- Więc chodźmy. - Brock chwycił ją za rękę.

- Nie mamy kostiumów.

Roześmiał się głośno.

- Nie ma tu żywej duszy. Już widziałem twoje cudowne ciało i nie mogę o nim zapomnieć. Czego się wstydzisz?

- Taka już jestem. A jeśli ktoś przyjdzie?

- Zanurzymy się w wodzie, dopóki nie odejdzie.

- Zgoda - ustąpiła w końcu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Brock ruszył pierwszy wzdłuż brzegu, rozpryskując płytką wodę.

- Chodź! - zawołał.

Shelley nadał stała pod drzewami. Pomyślał z obawą, że jeśli na chwilę zamknąby oczy, mogłaby zniknąć. Znów byłby sam. Kochał ją, wiedział, że Shelley jest kobietą jego życia.

Wreszcie zdjęła sandały, potem sukienkę. Brock nie mógł oderwać od niej oczu. Przypomniawszy sobie każdy szczegół spotkania w jaskini.

- To kompletne szaleństwo! - zawołała, zanurzając się w wodzie.

Na pewno oszalałem na twoim punkcie, pomyślał. Zrzucił ubranie i ruszył za nią.

- Mam cię! - Objął ją.

Przesunęła językiem po jego dolnej wardze. Odpowiedział natychmiast, całując ją namiętnie. Poczwała narastające pożądanie.

Zaczęli pływać, przyskajac na siebie wodą. Co chwila wracali, by znów przytulić się do siebie. W końcu przyszła chwila, gdy wzajemne pragnienie zwyciężyło.

- Chcę cię teraz - szepnął Brock, patrząc jej w oczy.

Wyciągnęła do niego ręce, gdy unosił ją w ramionach. Już nie było odwrotu.

Później położyli się w cieniu, by odpocząć. Shelley zdrzemnęła się w objęciach Brocka, czując, jak wiatr i słońce osuszają na jej skórze ostatnie krople wody.

Śniło się jej, że znów ma sześć lat. Idzie przez rozległy ogród otaczający Wybourne, zdziczały i zarośnięty wysokimi chwastami, zasłaniającymi staw. Trzyma za rękę Seana, próbując go pocieszyć. Mówił, że źle się czuje. Pozostali daleko za Amanda, choć próbowali ją dogonić. Siostra o coś obraziła i jak zwykle nie miała ochoty zajmować się nimi. Sean zaczął płakać, więc Shelley zatrzymała się, by go objąć i pocieszyć. Zwykle to pomagało, ale nie tym razem. Było strasznie gorąco, a Amanda szybko się oddalała. Czy nie rozumiała, że nie powinna spuszczać ich z oka?

- Nawet na chwilę, pamiętaj - powtarzała matka.

- Oczywiście, mamó! - odpowiadała Amanda, niezadowolona, że matka myśli tylko o bliźniakach, a nigdy o niej.

- Anlanda, zaczekaj! - zawołała Shelley. - Sean jest chory. Amanda, proszę, Amanda!

Wołanie na nic się nie zdało, tymczasem policzki Seana zrobiły się czerwone i gorące.

- Chcę wracać do domu - powtarzał raz po raz.

Powiedziała mu, żeby usiadł na trawie i nie ruszał się z miejsca. Dobrze biegła, więc mogła dogonić Amandę i zmusić ją do powrotu.

- Nie lubię Mandy - powiedział Sean, pochlipując. - Kocham tylko ciebie, Shel.

- Spójrz, będę biegła bardzo szybko! - Nie rozumiała, dlaczego Mandy była taka okrutna.

- Chcę do domu - szepnął Sean.

- Zaraz wrócimy. Obiecuję. Zaczekaj tylko chwilę.

Była już niemal w połowie drogi, gdy coś kazało jej zatrzymać się. Jakieś straszne przeczucie. Odwróciła się. Sean zniknął.

Krzyknęła przeraźliwie. Były w tym cierpienie, ból i przerażenie.

- Shelley! - zawołał Brock, tuląc ją do siebie. Jeszcze przez chwilę była nieprzytomna, choć oczy miała szeroko otwarte. - To tylko sen. Spokojnie, nic ci nie grozi. - Odgarniał jej z twarzy kosmyki włosów.

- Sean... Śnił mi się Sean. Nie pamiętałam tego dnia... tylko krzyk mamy. Amanda powiedziała, że go popchnęłam...

Brock zacisnął zęby ze złości.

- Twoja siostra to okrutna dziwka. Nigdy nie uwierzyłbym, że zrobiłaś coś takiego.

- Teraz pamiętam. Amanda odeszła daleko. Nie chciała, żebyśmy jej przeszkadzali. Sean poczuł się źle, więc chciałam zabrać go do domu, ale mama zapowiedziała, że nie możemy nigdzie chodzić bez Amandy. Pobiegłam za nią. Nie myślałam o stawie. Sean nie lubił wody i nie umiał pływać, ale wtedy było strasznie gorąco... - Nie potrafiła powstrzymać łez.

Eula uparła się, że wróci z Brockiem samochodem, zamiast czekać na Phiłipa i helikopter. Tymczasem wraz z Shelley usiedli w pubie, omawiając ostatni dzień życia Rekxa Kingsleya.

- Pan Kingsley na pewno podpisał testament - upierała się Eula. - Jeśli Maitland zaprzecza, to kłamie. Oczywiście to tylko moje słowo przeciw jego słowom. Kto uwierzy głupiej starszej babie, a nie znanemu adwokatowi? - spytała smutno.

Mógł im pomóc tylko cud.

W Mulgaree Brock trafił na straszne zamieszanie. Nikt nie mógł znaleźć wielkiego klucza, którym zamykano podwójne drzwi grobowca. Pogrzeb miał się odbyć następnego poranka. Został zaproszony anglikański biskup, by celebrować uroczystość.

- Przestrzelmy ten cholerny zamek - zaproponował Brock.

- To może być jedyne wyjście - przyznał Philip. - Zastanawiam się, gdzie mógł się podziać ten klucz. Nie widziałem go od lat, ale dawniej dziadek miał go w prawej szufladzie biurka. Może Eula coś wie?

Nie wiedziała. Była zła na siebie, że nie może znaleźć innych rzeczy.

- Podobno Shelley jest w mieście. Co ona tam robi? - spytał Philip.

- Może odpoczywa od swojej kochanej rodziny? - zasugerował Brock.

- Chcę, żeby była na pogrzebie.

- Lepiej daj jej spokój i zajmij się zamkiem.

Ostatecznie Brock musiał użyć strzelby.

- Zaczekam tu - powiedział do Philipa.

- Wejź ze mną. To miejsce mnie przeraża.

- Sam chciałeś. - Brock wzruszył ramionami. - Możesz to jeszcze odwołać. Dziadek nie życzył sobie, żeby go tu pochować. Myślę, że to on schował klucz. Nie chciał, żeby ktokolwiek tu wchodził.

W środku panowała ciemność, więc włączyli latarkę. Na środku krypty Aaron Kingsley spoczywał w sarkofagu z białego marmuru. Nad nim wznosiła się kopuła dachu.

- Powinniśmy się pomodlić - powiedział cicho Philip.

- Straszne miejsce. Myślisz, że dziadek zbudował to z poczucia winy? Nigdy nie traktował dobrze mojego ojca ani nikogo z nas.

Spojrzał w stronę Brocka, który cały czas milczał. Nagle osunął się na kolana, patrząc na coś za sarkofagiem.

- Nieee! - zawołał przejmująco tak udreńczonym głosem, że Philip poczuł przechodzące ciarki.

- Brock, co tam jest? - Niemal zemdłał, gdy podszedł bliżej. Obaj natychmiast domyślili się, czyj to był szkielet i kto zrobił okrągły otwór w czaszce.

Philip odwrócił się i wybiegł przerażony. Serce waliło mu jak młot. Nie pojmował, że człowiek, którego nazywał dziadkiem, był zdolny do takich potworności.

Brock z zamkniętymi oczami powtarzał modlitwy, które układał przez pół życia. Miał przed sobą ojca... a raczej to, co pozostało z młodego, silnego mężczyzny. Poczuł się jak

mały chłopiec, któremu łzy płyną po policzkach. Ojciec nigdy go nie opuścił. Zawsze tu był.

- Co teraz zrobimy? - spytał błąd jak ściana Philip, gdy usiedli na kamiennych schodach przed grobowcem. - To musi być twój ojciec.

- Nikt inny. - Brock zasłonił twarz rękami. - Domyśliłem się, nim zobaczyłem medal, który miał na szyi. Mama upierała się, żeby nosił go na szczęście... - Roześmiał się ponuro.

- Nie umiem znaleźć słów, żeby powiedzieć, jak ci współczuję. Nikt z nas nie wynagrodzi ci tego. Jakoś musimy z tym żyć. Co się stanie, gdy ludzie się dowiedzą? Nie potrafię powiedzieć tego matce. Nie ufam jej. Tym bardziej nie chcę, żeby Maitland się dowiedział. Byłoby to przekleństwo dla naszej rodziny.

- Zastanówmy się, Phil. - Brock, mimo szoku, starał się myśleć trzeźwo. - Kingsley nie żyje, więc prawo nie będzie go ścigać. To sprawa czysto rodzinna i nie powinna wydość się na zewnątrz. Jednak nie możesz pochować dziadka w grobowcu. To byłaby profanacja. Powiesz matce, że zmieniłeś decyzję.

- Brock, zrobię, co tylko chcesz. Nie chcę, żeby spoczywał z moim biednym ojcem.

- Nikomu nie powiesz?

- Na Boga, nie. Dlaczego miałbym to zrobić? Przeszła mi ochota na Mulgaree - mówił z przejęciem. - Nie rzucać słów na wiatr. Możesz je przejąć. Podpiszę wszystkie dokumenty.

- Ja też nie chcę Mulgaree - powiedział Brock bezbarwnym głosem. - Chętnie spaliłbym to przeklęte miejsce.

- Możemy sprzedać całą firmę. Potrafisz to zrobić. Zawsze byłeś bystrzejszy ode mnie. Podzielimy się zyskiem po połowie. To, co zrobił dziadek, jest po prostu chore. Musiało mu się wydawać, że jest Bogiem. On po prostu oszalał.

- Nie, on nie zwariował, tylko zżerała go zazdrość. Kingsley kochał tylko jedną osobę: moją matkę. Gdy dopuściła się zdrady, wychodząc za mąż bez jego zgody, przypieczętowała los mego ojca. Kingsley odczekał tylko kilka lat.

- Odwołam jutrzejszą uroczystość - stwierdził Philip. - Wybacz, Brock, ale musimy coś postanowić. Co zrobimy zę szczątkami twojego ojca?

- Powinien spocząć w prawdziwym grobie.

- Jeśli mego ojca też przeniesiemy na cmentarz, będzie można zburzyć tę przerażającą budowlę. Wszyscy nienawidzą tego miejsca.

- Tak zrobimy, natomiast Kingsleya każemy poddać kremacji, a jego prochy nie spoczną na tej ziemi.

- Philip, co ty mówisz? Nie będzie mszy? - Rozparta w fotelu Frances spojrzała na syna ze zdumieniem.

- Brock i ja przemyśleliśmy tę sprawę. Dziadek zostanie skremowany.

- Od kiedy ty i Brock zgadzacie się w czymkolwiek?

- Frances, niech tak będzie - odezwał się Brock zdecydowanym tonem. - Nie chcemy, by miał swój grób w Mulgaree.

- Ależ to jego dom i ziemia. W każdym razie Philip powinien decydować. On to odziedziczył.

- Najpierw będziesz musiała udowodnić ważność testamentu. Mam poważne wątpliwości. Eula jest pewna jednego: widziała podpis Kingsleya. - Uniósł rękę, widząc, że zaraz zacznie zaprzeczać. - Eula nie jest głupia. Jak zwykle nie doceniasz ludzi. Została wezwana na świadka i była obecna przy składaniu podpisu. Jest gotowa przysiąc.

- Ja i tak nie chcę tej ziemi - oświadczył Philip. - Nie nadaję się do kierowania firmą. Dobrze o tym wiesz, mamo. Jedyne, czego pragnę, to Shelley. Jeśli będzie moja, nie potrzebuję nic więcej.

- Tyle że ona jest szaleńczo zakochana w Brocku, ty durniu! - zawołała rozżłoszczona Frances. Za co Bóg pokarał ją takim głupim synem?

- Brock, czy to prawda? - Phil groźnie spojrzał na kuzyna.

- Dlaczego jej nie zapytasz?

- Widzisz? Ostrzegalam cię. Zabrał ci dziewczynę.

- Chcę usłyszeć to od Shelley - cicho powiedział Philip.

- Frances, lepiej powiedz swojemu kochasiowi, żeby pakował walizki - powiedział Brock. - Wydaje mi się, że oboje potrzebujecie dobrego adwokata.

Zaledwie Shelley zjawiła się w Wybourne, zdecydowana opuścić rodzinę, gdy zadzwonił Brock. Upowiedział, że zaraz przyjedzie.

- Możesz mi wytłumaczyć, do czego on tu potrzebny?

- spytał Patrick Logan. - Czekamy na Philipa.

- Tato, przestań pchać mnie w ramiona Philtpa! - To stawało się wprost absurdalne. Dlaczego nikt jej nie słucha? - Ty go wybrałeś, a nie ja. Mam już dość starań, żebyś był zadowolony. Próbowałam przez całe życie. Na próżno.

- Matka i ja chcemy tylko twojego szczęścia. Pojechałaś do miasta, żeby wszystko przemyśleć. Opamiętaj się wreszcie.

- Właśnie to zrobiłam. Brock więcej dla mnie znaczy niż przyjaźń z Philipem.

- Cóż on może dla ciebie zrobić? - Ojciec roześmiał się drwiąco. - Przecież nie ma ani grosza.

- Obrażasz mnie, tato. Nie interesują mnie pieniądze.

- Bo jesteś romantyczną idiotką. Los daje ci szansę, z której nie chcesz skorzystać. Wszystkie dziewczyny kochały się w Brocku Tysonie. Myślisz, że potraktuje cię poważnie? Jest jak jego ojciec, który porzucił żonę i dziecko.

Shelley odwróciła głowę, słysząc hałas helikoptera.

- To pewnie Brock - powiedziała z ulgą.

- Co masz zamiar zrobić?

- To, czego on będzie chciał. - Ruszyła do drzwi.

- Zostań tu! - wrzasnął ojciec. - To mój dom i dopóki tu jesteś, masz robić, co ci każę.

- Tato, bardzo mi przykro. - Uniosła hardo głowę. - Nie mam tu już nic do roboty. Spakuję się i zacznę nowe życie. Mogłabym ci powiedzieć, co stało się tamtego dnia, gdy utonął Sean, ale tylko sprawiłabym ci więcej cierpienia. Przypomniałam sobie wszystko. Będziesz o wiele szczęśliwszy beze mnie. Nie mogłeś na mnie patrzeć.

- Wróć, Shelley. - Starał się, by jego głos zabrzmiał łagodnie. - Porozmawiam z tym młodym człowiekiem.

Rozmowa nie była miła. Brock starał się być uprzejmy, lecz nie potrafił znaleźć wspólnego języka z człowiekiem, który zatruł życie własnej córce. Natomiast Patrick Logan był zaskoczony. Choć arogancja Brocka wyprowadzała go z równowagi, zdał sobie sprawę, że nie był to człowiek, który ucieka przed problemami. Zapewne jego ojciec postępował podobnie. Jeśli Rex Kingsley naprawdę był zdolny do wszystkiego, być może jego ręce zostały splamione krwią...

Shelley przeżyła prawdziwy szok, gdy Brock powiedział jej prawdę o zniknięciu ojca.

- Co zamierzasz? Chcesz zemsty? - Spojrzała na niego z obawą.

- Ty byś nie chciała?

- Najpierw próbowałabym zapanować nad sobą, choć rozumiem, co musisz czuć.

- Ból i przerażenie. Jednak czuję też, jakby ktoś zdjął ze mnie wielki ciężar. Wiem już, że ojciec nie opuścił mnie i matki. Widocznie przeciwstawił się Kingsleyowi i poniósł straszne konsekwencje. Jeśli powiedział, że zabiera nas z sobą i wyjeżdża, to mogło wystarczyć. Spowodował atak furii. Dziadek od początku go nienawidził.

- Kto o tym wie? Tylko ty i Philip?

- Teraz także ty. Powinnaś wiedzieć o mnie wszyst-

ko. Dobrze i złe. Dręczy mnie myśl, że mam w sobie krew Kingsleyów.

- Jesteś zupełnie inny. Ufam ci całkowicie. - Położyła dłoń na jego rękę. - Już nie będzie cię prześladował. Jego zbrodnię możesz ujawnić lub zachować w tajemnicy.

- Lepiej milczeć. Jeśli założę rodzinę, nikt nie będzie dumny, że pradziadek okazał się mordercą. Wystarczy, że ja tego nie zapomnę. Będzie mnie to prześladować przez resztę życia. Philipa też. Wciąż jest w szoku. Powiedział, że chce zrezygnować z Mulgaree.

- Na jego miejscu też miałabym już tego dość. Szkoda, że nie mogłam być z tobą, gdy odkryłeś prawdę o ojcu.

Usiedli pod drzewem. Shelley oparła głowę na ramieniu Brocka, starając się go pocieszyć.

- Za to teraz jesteś ze mną - powiedział z wdzięcznością.

- Czy moja osoba dodatkowo nie komplikuje sytuacji?

- Shelley, to, co się dzieje, jest skomplikowane i okropne. Tylko dzięki tobie jakoś to znoszę. Nie zasługuję na ciebie.

- Nie chcę, żebyś czuł się zobowiązany wobec mnie. Nie rzucę się ze skały, jeśli znajdziesz inną dziewczynę.

- Co byś wtedy zrobiła? - spytał z uśmiechem.

- Załamałabym się i wyjechała, żebyś nie mógł mnie znaleźć. I pewnie miałabym nadzieję, że kiedyś do mnie wrócisz.

- Pleciesz bzdury. Powinnaś już znać mnie na tyle, **by** wiedzieć, że nigdy cię nie opuszczę.

- Mam w to wierzyć? - Oczy niebezpiecznie jej się zaszklily.

- Udowodnię ci, jak wiele dla mnie znaczysz. - Pocałował ją i przyciągnął do siebie.

Eula siedziała w kuchni, przełykając łzy. Pani domu wymówiła jej pracę, mówiąc, że w spadku otrzymała wystarczające zabezpieczenie finansowe. Nagle jakby w jej głowie zaświeciło się światło.

Nie schowała testamentu w chińskiej wazie, lecz w lakierowanej chińskiej skrzyni, na której stały orientalne bibeloty. Pomyślała, że przy odrobinie szczęścia może przypomni sobie też o złotej broszce po mamie. Pospieszenie wstała z krzesła.

Gdy Brock i Shelley zbliżali się do drzwi frontowych, Eula z triumfem na twarzy ruszyła w ich kierunku. Promieniejąc radością, uniosła ręce. Będą skakać ze szczęścia, pomyślała. Jeszcze nie wiedziała o przerażającym odkryciu Brocka. Zdażyła wreszcie przeczytać testament. Zaskoczył ją zupełnie. Brock został wyznaczony jedynym spadkobiercą. Nikt więcej nie został wspomniany. Co za nieprzewidywalny staruch, pomyślała. Wiedziała, że Brock nie zostawiłby Philipa bez grosza, jednak miała cichą nadzieję, że pani Kingsley nie dostanie nic. Była po prostu paskudnym człowiekiem.

Brock spojrział na nią zaskoczony.

- Eula, co się stało?

- Znalazłam! - powiedziała przyciszonym głosem.

Brock chwycił Shelley za rękę. Nie mógł dłużej znieść niepewności.

- - I?

- Dostałeś wszystko!

Shelley i Brock spojrzeli na siebie, jakby nie mogli zrozumieć jej słów.

- Co z Philipem i jego matką? - spytał.

- O nich ani słowa - szepnęła Eula.

- Muszę natychmiast zobaczyć testament Gdzie on jest?

- Ruszył do holu, trzymając Shelley za rękę.

- W kuchni - powiedziała Eula, usiłując za nimi nadążyć. - Tym razem już nigdzie nie schowałam.

Nagle Brock zwolnił kroku i spojrzał Shelley głęboko w oczy.

- Kochasz mnie? - spytał. - Powiedz: kocham cię Brock, mimo że masz trudny charakter. Chcę spędzić z tobą resztę życia. Przysięgnij, bo przeraża mnie, że mógłbym cię stracić.

- Nie mogę uwierzyć, że to mówisz. Oczywiście, że cię kocham. Właśnie po to się urodziłam.

- Pocałuj ją wreszcie! - ponaglała rozradowana Eula.

- Dzięki za podpowiedź! - Brock natychmiast skorzystał z dobrej rady gosposi. Czuł, że właśnie zaczął nowe życie. Razem z Shelley mogą osiągnąć wszystko.

EPILOG

Mulgaree Station, cztery miesiące później.

Shelley przejrzała się w wysokim lustrze, stojącym w obszernej sypialni. Wyglądała pięknie. Suknia ślubna z jedwabiu w kolorze kości słoniowej była w górnej części ozdobiona ręcznie naszywanymi drobnymi perełkami. Czerwonozłote włosy swobodnie spływały spod welonu. Taką fryzurę Brock lubił najbardziej.

- Do twojej karnacji najlepiej pasują perły - powiedział, gdy wręczał jej naszyjnik i kolczyki. Dziś zostawiali za sobą przeszłość. Urazy, cierpienia i niepewność musiały się wreszcie skończyć.

Na druhnę wybrała przyjaciółkę z dzieciństwa, Nicole Cavanagh, która po kilku latach pracy w Paryżu i Nowym Jorku wróciła do rodzinnego domu w Mara Station. Druhną drużną była Amanda. Shelley nie chciała odcinać się od rodziny w tak uroczystym dniu.

Brockowi towarzyszyli Philip i Drake McClelland. Shelley bardzo się tego obawiała, bo rodziny Nicole i Drake'a, kiedyś bardzo zaprzyjaźnione, od kilku lat zwalczały się zawzię-

cie. Jednak Brock przekonał ją, że takie spotkanie może znów zbliżyć obie strony.

Brock i Philip zawarli porozumienie. Philip otrzymał mniejszościowe udziały w Kingsley Holdings i przeniósł się do Strathdownie Station, gdzie dobrze sobie radził, korzystając z pomocy kompetentnego nadzorcy. Usamodzielił się i stał się innym człowiekiem. Brock przejął zarządzanie firmą. Nie wniósł oskarżenia przeciw Frances i Geraldowi Maitlandowi, bo dla dobra rodziny nie chciał wzbudzać Tozgłosu. Matka Philipa otrzymała od syna zabezpieczenie finansowe i polecenie, by trzymała się z daleka, natomiast Maitland został zmuszony do natychmiastowego przejścia na emeryturę. Brock oznajmił mu, że jeśli tego nie uczyni, poda go do sądu. Tak więc sprawiedliwości stało się zadość, natomiast uniknięto medialnego skandalu.

W czasie przygotowań do ślubu zmieniono cały wystrój domu w Mulgaree. Shelley na czele grupy dekoratorów realizowała swoje marzenia. Jej pospieszne szkice budziły podziw całej ekipy.

- Chętnie zatrudnilibyśmy cię u nas - powtarzali wielokrotnie.

- Chcę tego, co ty - mówił z kolei Brock, przytulając ją do siebie gdy pytała go o zdanie w sprawie wprowadzanych zmian.

Dokładnie o piętnastej zabrzmiała muzyka w obszer-
nym salonie. Shelley oparła dłoń na rękę ojca. Podobnie
jak jej matka, wyglądał elegancko i odświeżenie. Uśmiech

nie schodził im z twarzy. Byli wyraźnie wzruszeni. Nie prosili Shelley o wybaczenie, lecz zupełnie się zmienili w stosunku do niej. Uznała, że musi jej to wystarczyć.

Zatrzymali się w progu. Czekał na nią przystojny pan młody z друзbami. Wokół rozstawiono naręcza dorodnych, białych kwiatów. Były tam orchidee, lilie i róże.

Nie zdając sobie sprawy, że bezwiednie się uśmiecha, zbliżała się powoli do Brocka. Była gotowa na to wyzwanie.